No. 8.
Lato **2016**
Cena 40 zł / 25 € (w tym 8% VAT)
ISSN: 2084-7548

{slow}8

Szkoda czasu na pośpiech
Magazyn ludzi świadomych

Earthship

Po co nam kultura

Czasospowalniacze

Lęk powszedni

Empatia

ISSN 2084-7548
9 772084 754407 08

To nie była łatwa i szybka decyzja

Wierzyłem, że powstaną kolejne numery {slow}, choć przygotowania do poprzedniego wydania trwały blisko dwa lata. Ten czas to głównie dylematy, wątpliwości i obawy przed konsekwencjami. Założenia i cele, jakie przed sobą postawiliśmy, zdecydowanie nie pasowały bowiem do powszechnie panującego wyobrażenia o prasie, a przede wszystkim o jej komercyjnym aspekcie. Marzył nam się magazyn pozbawiony kompromisów, wpływów, pozbawiony reklam. Uporządkowany, wartościowy, zaskakujący, piękny. Niewielu wierzyło w powodzenie tego przedsięwzięcia.

Dziś już wiem, że jakiekolwiek obawy były nieuzasadnione. Dowiedziałem się tego w kilka dni po uruchomieniu przedsprzedaży różowego {slow}[7], kiedy liczba zamówień z nawiązką przekroczyła zakładane minimum, pozwalając sfinansować jego druk. W efekcie kupiliście o wiele więcej egzemplarzy niż przewidywaliśmy. Co więcej - na prośbę czytelników, którzy nie zmieścili się w *regulaminowym czasie*, zrealizowaliśmy dodruk. To wspaniałe i wzruszające. Nie tylko dlatego, że ułatwiło nam wydanie ósmego numeru, ale również stało się niesamowitym dowodem, jak wielu wspaniałych ludzi nas otacza. **Dziękuję Wam za to!**

Nasz zespół robi wszystko, aby każdy kolejny numer był zaskakujący, coraz lepszy, piękniejszy. Poszukujemy tematów, które na co dzień umykają naszej uwadze, a jednak warto się nad nimi pochylić. Staramy się tak je dobierać, aby lektura {slow} była jednocześnie nietuzinkowa i wzbogacająca. To nie jest łatwe zadanie, bo nie każdy dziś znajduje czas, aby poznawać nowe zagadnienia i dąży do ich zgłębiania.

W tym numerze szczególnie polecam: *Nic dwa razy się nie zdarza* Rogera Weicherta {66}, opowiadanie Marka Szalszy *Droga do Trachinki* {70}, *Lęk w kulturze nadmiaru* Tomasza Kozłowskiego {96} i *Empatię w sieci* Rogera Weicherta {100}. Zwróćcie też proszę uwagę na wspaniałe ilustracje, które dzięki uprzejmości Marcina Bondarowicza {100} i Michała Dziekana {70} dodały naszym artykułom wyjątkowego wyrazu.

Wierzę, że przygoda z pomarańczowym {slow}[8] okaże się dla Ciebie przyjemna i wartościowa.

Zapraszam do lektury.

Bartosz Klonowski
Redaktor Naczelny

Szkoda czasu na pośpiech.

CONTENTS

ARCHITEKTURA {6}
EARTHSHIP {8}
PRZEBARWIENIA {18}
TURYSTYCZNA ALTERNATYWA {24}

DESIGN {30}
BROOKS STEVENS {32}
COŚ W TEN DESEŃ {38}
HEVEN IS A PLACE ON EARTH {42}

KULTURA {48}
PO CO NAM KULTURA {50}
ZACZĘŁO SIĘ OD KONIA, A S(KOŃ)CZYŁO NA TYM... {56}
PO NITCE DO CZŁOWIEKA {60}
NIC DWA RAZY SIĘ NIE ZDARZA {66}
DROGA DO TRACHINKI - EPIZOD I {70}
SATYRA NA POWIERZCHOWNOŚĆ I LUDZKĄ GŁUPOTĘ {78}

FREE:ZONE {80}
MICHAŁ DZIEKAN {83}
ILUSTRACJA I JEJ OBLICZA {86}

RE:VISION {90}
EMPATIA NA WYŻSZYM LEWELU {92}
LĘK W KULTURZE NADMIARU {96}
EMPATIA W SIECI {100}
ALBUM ILUSTRATORÓW {105}
TENISOWE LEGENDY {106}

APPÉTIT {110}
POMARAŃCZOWO MI {112}
MARCHEWKI ZA'ATAR {116}
CUKROHOLICY {118}
TARTA BRZOSKWINIOWA {124}

PODRÓŻE {126}
SLOW ROAD I CZASOSPOWALNIACZE {128}
SLOW INCLUSIVE {138}
{SLOW}[10] {146}

www.beSlow.pl
www.facebook.com/beSlow
redakcja@beSlow.pl

Autorzy i współpracownicy: Agata Morka, Agata Waszak, Aleksandra Czapla-Oslislo, Anna Januszewska, Dejan Todorov, Dexter Wols, Elwira Bocheńska, Jan Kucza-Kuczyński, Kamila Tuszyńska, Karolina Borys, Krystyna Jasińska, Maciej Saskowski, Maciej Szymaniak, Marek Szalsza, Marta Potoczek, Paweł Paszek, Roger Weichert, Tomasz Domagała, Tomasz Kozłowski.

Graficy, fotograficy, ilustratorzy: Aga Pietrzykowska, Aleksander Silverton, Anna Jan, Arkadiusz Krassowski, Dean West, Dexter Wols, Emilia Dziubak, Kasia Bielska, Kasia i Leszek Górni, Katarzyna Widmańska, Marcin Bondarowicz, Marcin Nagraba, Marek Gardulski, Marta Potoczek, Mateusz Kołek, Michael Reynolds, Michał Dziekan, Pat Guzik, Paulina Wydrzyńska, Paweł Bajew, Paweł Totoro Adamiec, Rafał Lipski, Romina Ressia, Tadeusz Sumiński, Vojtěch Veškrna, Wojtek Olszanka, Zofia Oslislo.

Dziękujemy wszystkim, którzy pomogli nam w przygotowaniu i wydaniu tego oraz poprzednich numerów {slow}.

Wydawnictwo: Fundacja SLOW, ul. Domaniewska 17/19 lok. 133, 02-663 Warszawa, NIP: 5213683669, KRS: 0000533292, REGON: 360168048, ISSN: 2084-7548. **Fundacja SLOW jest organizacją non profit.**

Redaktor naczelny: Bartosz Klonowski, **Dyrektor artystyczny:** Anna Jasińska, **Sekretarz redakcji:** Dexter Wols, **Szef działu {kultura}**: Roger Weichert, **Skład i łamanie:** eMotion, **Projekt makiety i okładka:** Anna Jasińska, **Redakcja i korekta:** Roger Weichert, **Reklama:** reklama@beSlow.pl.

Redakcja **nie zwraca** materiałów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów oraz rezygnacji z publikacji. **Nie odpowiadamy** za treść zamieszczonych reklam.

Sprzedaż magazynu {slow} bez zgody wydawcy i poza jego siecią sprzedaży oraz po cenie innej niż podana na okładce, jest zabroniona. W przypadku sprzedaży magazynu {slow} bez umowy z wydawcą, wydawca wystąpi na drogę sądową przeciwko sprzedawcy, a odszkodowanie przekaże na cele statutowe fundacji SLOW.

Magazyn wydrukowano
na papierze Amber Graphic 120 g/m²

Kopiowanie i wykorzystywanie zawartych w magazynie treści (tekstów, zdjęć, grafik, etc.) wymaga pisemnej zgody wydawcy.

WYDAWCY HONOROWI

A
Adam Adamek
Nikolina Ambroziak
Anna Andrzejewska
Martyna Arcaba
Agnieszka Augustyn

B
Radosław Badura
Magdalena Bałut
Aliaksandr Baradzin
Michał Barański
Grzegorz Bargieła
Katarzyna Barteczko
Romuald Bartkowicz
Maria Barton
Dominik Bartosik
Jakub Bartoszewicz
Beata Basińska
Marek Bąk
Wojciech Bednarczyk
Sylwia Bergolc
Kacper Bernat
Michał Bialinis
Jakub Bielawski
Agnieszka Bielicz-Polkowska
Tomasz Biernat
Amelia Bistram
Ania Blausz
Wojciech Bogucki
Agnieszka Borek
Mateusz Borucki
Joanna Brodniewicz
Marta Broszkiewicz
Iwona Bujkowska
Agnieszka Burghardt
Kasia Butryn
Iwona Buzała

C
Sylwia Cembala
Agnieszka Chainska
Lidia Chalecka
Zuzanna Chańska
Patrycja Chlebus
Monika Chmielewska
Jacek Chmielewski
Mateusz Chrastek
Radek Chudzik
Łukasz Cieślak
Bartosz Cieślak
Marzena Ciołek
Małgorzata Czapiga
Aleksandra Czapla-Oslislo
Agata Czarnuszko
Jagoda Czekała
Łukasz Czerwiński
Eliza Czyżewska

D
Katarzyna Danowska
Paulina Dąbrowska
Katarzyna Dąbrowska
Małgorzata Dąbrowska-Safiańczuk
Blaise Dee
Marzena Derdziak
Edyta Deruś
Rafał Deszcz
Kasia Dobroszek
Sławomir Domagała
Andrzej Dorosiński
Agnieszka Drajewicz
Ewa Drankowska
Magda Drapella
Aleksandra Drawert
Jacek Drążkowski
Michalina Drozd
Anna Drozdowska
Sandra Dziedzioch
Rafał Dzierżawski

F
Agnieszka Felde
Paweł Filosek
Monika Fleming
Katarzyna Flor
Norbert Franke
Marcin Frączek
Kinga Fuchs
Katarzyna Furs

G
Michał Gabriel
Paulina Gadowska-Grażul
Konrad Gancarczyk
Radosław Gargul
Paweł Garnek
Renata Gawkowska
Michał Gaworski
Katarzyna Gemborys
Paulina Gierałtowska
Monika Gierczak
Anna Glos
Aleksandra Głogowska
Michał Główczewski
Agnieszka Godlewska
Iwona Goerke
Aneta Golis
Agata Gotz
Kamil Górecki
Paweł Górowicz
Joanna Grabarska
Magdalena Grzeszkiewicz-Brzęcka
Maria Gustof
Bartek Gutkowski

H
Justyna Hadaś
Ewelina Hatała
Urszula Hejnig-Kaźmierowska
Adam Hendel
Ewo Hę
Monika Hinz
Weronika Hoeft

J
Natalia Jachimczyk
Magdalena Jagoda
Joanna Jakimiuk
Adam Jakoniuk
Ewa Jakóbczak
Anna Jakubiak
Sara Jakubowicz
Grzegorz Jamróz
Slawomir Janecki
Marta Janicka
Aleksandra Janson
Grzegorz Januszewski
Ewelina Jarosz
Tomasz Jasiński
Elwira Jastrzębska
Natalia Jażdżewska
Dominika Jelinowska
Przemysław Jendroska
Paweł Jurgielewicz

K
Monika Kaczmarzyk
Monika Kaim-Klimek
Łukasz Kaliciński
Marcin Kamiński
Mariusz Kania
Justyna Karamuz
Michał Karoński
Piotr Karwala
Tomasz Keiling
Karolina Kępczyk
Kamil Kisieliński
Tomasz Klakla
Adrian Klimek
Bartosz Klonowski
Anna Kłosiewicz
Ewelina Knigawka
Iwona Kobylas
Agata Kobyłka
Michał Kołodziejski
Filip Komaniecki
Kamil Komarzyniec
Agata Kondracka-Drążkowska
Barbara Konkolewska
Kinga Kopańska
Aleksandra Kopertowska
Majka Kopis
Jakub Korczak
Wojciech Korczewski
Sławomir Kortas
Piotr Kosmala
Katarzyna Kowalczuk
Edyta Kowalczyk
Karolina Kowalczyk
Małgorzata Kowalska
Krzysztof Kowalski
Agnieszka Koziarska-Wilkowiecka
Jarosław Kozioł
Monika Kozioł
Małgorzata Kozłowska
Filip Krasiński
Joanna Krucha
Łukasz Krupa
Karolina Kruszewska
Ela Krzemińska-Owczarz
Ewelina Kuciapińska
Krzysztof Kuczkowski
Andrzej Kudlicki
Dariusz Kuflewicz
Aleksandra Kunysz
Barbara Kupferschmidt
Agnieszka Kurek
Jan Kurzawa
Paweł Kuziora
Adam Kuźma
Katarzyna Kuźniarska
Jakub Kwoka

L
Katarzyna Lagwa
Wiktoria Laskus-Kuczyńska
Małgorzata Lasota
Dariusz Lech
Dawid Lenkiewicz
Kazik Leśniak
Monika Lisiecka

Ł
Ewelina Ładzińska-Kłaczkiewicz
Katarzyna Łakomska
Ewa Ławrynowicz
Elzbieta Łebkowska
Lech Łopuski
Marek Łubiarz
Katarzyna Łukasiuk
Aleksandra Łukaszczyk
Mariusz Łukomski

M
Adam Maciończyk
Monika Makiewicz
Dorota Makowicz
Małgorzata Makowska
Kasia Malicka
Justyna Malicka-Wasielewska
Karolina Malinowska
Kacper Malinowski
Bożena Małysiak
Ula Marchlik
Bogdan Marciniak
Sylwia Marek
Aleksandra Markiewicz
Paulina Markowska
Anna Matłoka
Katarzyna Matusiak
Klaudia Meca
Anna Michalska
Katarzyna Michenaud
Marta Miciak
Paulina Miecznikowska
Iwona Miedzińska
Daria Mielcarzewicz
Hubert Mielniczuk
Lucjanna Mionskowska
Balbina Mironiuk
Michał Mitoraj
Aleksandra i Bartosz Mogadorscy
Adam Mościcki
Marek Musiatowicz
Ewa Musielska

N
Hanna Najgebauer
Elżbieta Napora
Michał Niemiec
Agnieszka Niska
Pawel Nowak
Łukasz Nowak
Mateusz Nowak
Jakub Nowicki

O
Magda Obojska
Joanna Okołotowicz
Monika Olszanowska
Kamila Olszewska-Frontino
Agnieszka Osinska
Magdalena Ostalska
Bartłomiej Ostapczuk
Tomasz Owczarski

P
Kamila Pabich
Andrzej Pacek
Elżbieta Pakieło
Anna Paluszek
Ewa Papas
Wojciech Parachoniak
Bernadetta Pasternak
Krzysztof Paszkowski-Thurow
Paulina Pawliczak
Bartosz Pawłowicz
Agata Piechowska
Paweł Pieniążek
Izabela Pierowicz
Jarosław Pietrasina
Wojciech Pietraszkiewicz
Marcin Pilarski
Alicja Pittner
Bartosz Piwowarski
Natalia Płaczek
Mariusz Pogoda
Monika Pogwizd
Kamila Pokój
Zuzanna Połeć
Agnieszka Posłuszny
Anna Próchniak
Andrzej Pukos

R
Ewa Radomska
Agnieszka Rahimi
Gościniec Rajec
Paweł Rduch
Patrycja Rojek
Aleksandra Romańska
Piotr Romejko
Malwina Ropel
Małgorzata Rosner
Łukasz Ruda Nefere
Tomasz Rudzik
Agnieszka Rybinska
Agnieszka Rychter
Sara Rynowska
Aleksandra Ryś

S
Anna Sadowska
Marcin Salnikow
Małgorzata Sandelewska
Kinga Sawicka
Katarzyna Sawicka
Sabina Schabek
Klaudia Serwach
Justyna Sędek
Andrzej Siekierski
Aneta Siemieniuk
Paulina Sienczyło
Michał Siewierski
Łukasz Siewiorek
Karol Siwicki
Bartosz Skibiński
Andrzej Skorczyński
Agata Słomkowska
Marcin Smoleń
Przemek Sobstel
Weronika Sosnowska
Sebastian Sroka
Adam Stanek
Ewa Stańczak
Kasia Stańczak
Łucja Starmach
Adrianna Stasiak
Joanna Staszewska
Aneta Sterna
Magdalena Stetkiewicz
Dominik Stoklosa
Magdalena Stolarska
Marta Straus
Joanna Strzelec
Kinga Strzelecka
Marta Szadowiak
Anna Szałaj
Agnieszka Szatanik
Łukasz Szczechowicz
Konrad Szejnfeld
Łukasz Szeliga
Bernadeta Szlachta
Dorota Szponar
Natalia Szuta
Anna Szwarc
Agnieszka Szybowska-Mróz
Anna Szymkowiak
Ksenia Ścieszka
Łukasz Śliwa
Marcelina Śmigiel
Klaudia Światowiec
Anna Świderska

T
Marta Tabakow
Michalina Tańska
Robert Tarczyński
Paula Terlecka
Paweł Toman
Katarzyna Tomasik
Svitlana Topor
Paulina Tota
Grażyna Truchlińska
Beata Trybuła
Artur Tyrański

U
Przemek Uniejewski
Barbara Uniwersał
Piotr Uss

W
Krzysztof Waraczewski
Ola Wartak-Tolak
Justyna Wawrzyniak
Przemysław Wdowiak
Wiktor Wezgraj
Marta Wieczorek
Monika Wieczorkowska
Ewa Wierzbicka
Karolina Wiśniewska
Joanna Włodarczyk
Joanna Wojciechowska
Justyna Wojtala
Maciej Wojtaś
Beata Wojtkowska
Marcin Wołkiewicz
Maciej Wróbel
Aneta Wróbel
Anna Wróbel-Nowak
Bożena Wróblewska
Kamila Wysocka

Z
Mario Zabrocki
Aneta Zajączkowska
Aleksandra Zakrzewska
Ewelina Zakrzewska
Karol Zapart
Dorota Zarczuk
Elżbieta Zawieja
Jarosław Zbiejczuk
Gabriela Zielińska
Olaf Zieliński
Agnieszka Zielonka-Mitura
Krzysztof Ziniewicz
Agnieszka Zjawiona
Artur Zwierzchowski
Krystian Zwoliński

Ż
Ewa Żakowska
Gabriela Żuchowska-Zimnal
Anna Żur
Dorota Żurawińska
Daria Żywicka

ARCHITEKTURA

EARTHSHIP {8}, PRZEBARWIENIA {18}
TURYSTYCZNA ALTERNATYWA {24}

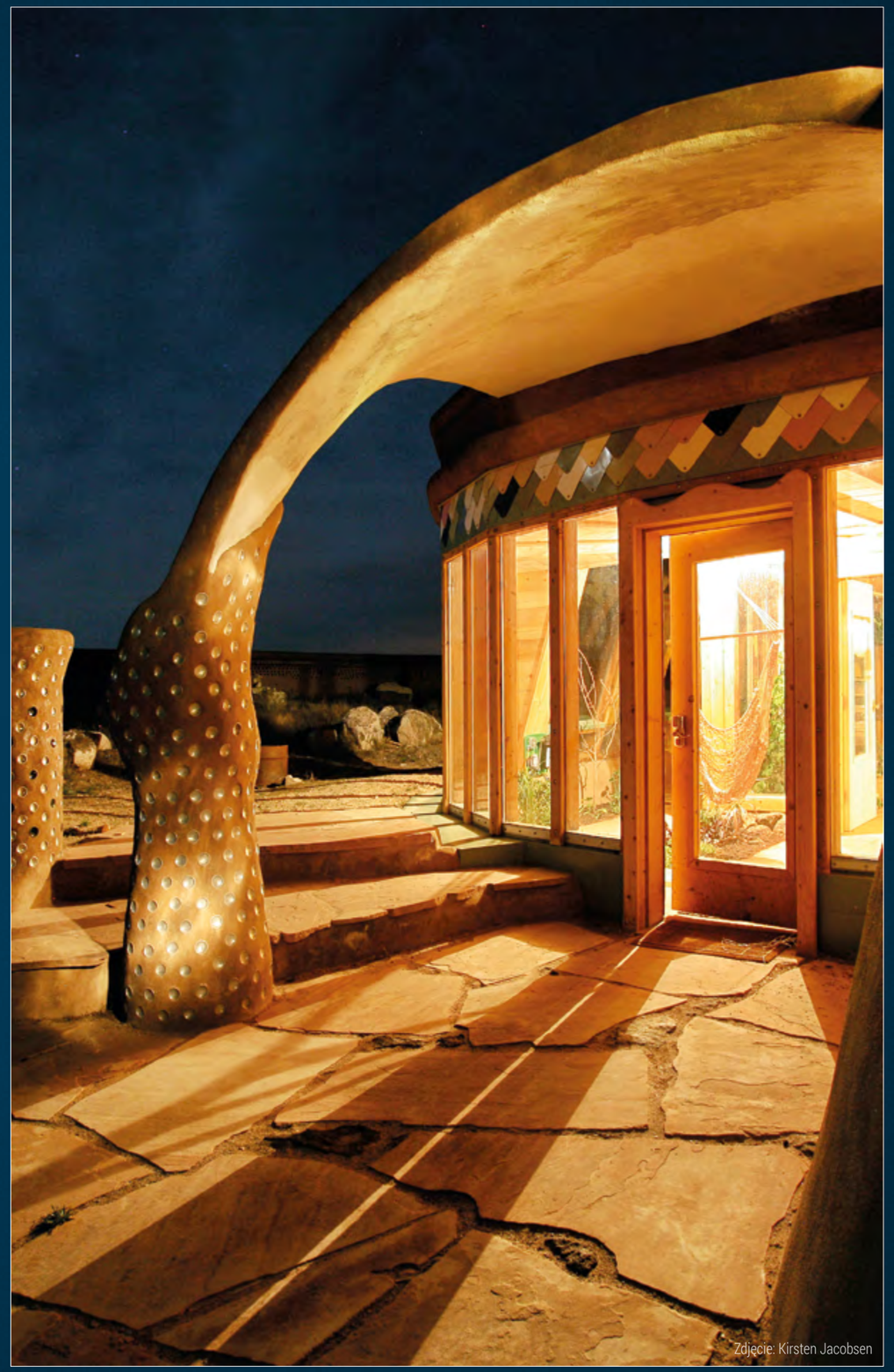

Zdjęcie: Kirsten Jacobsen

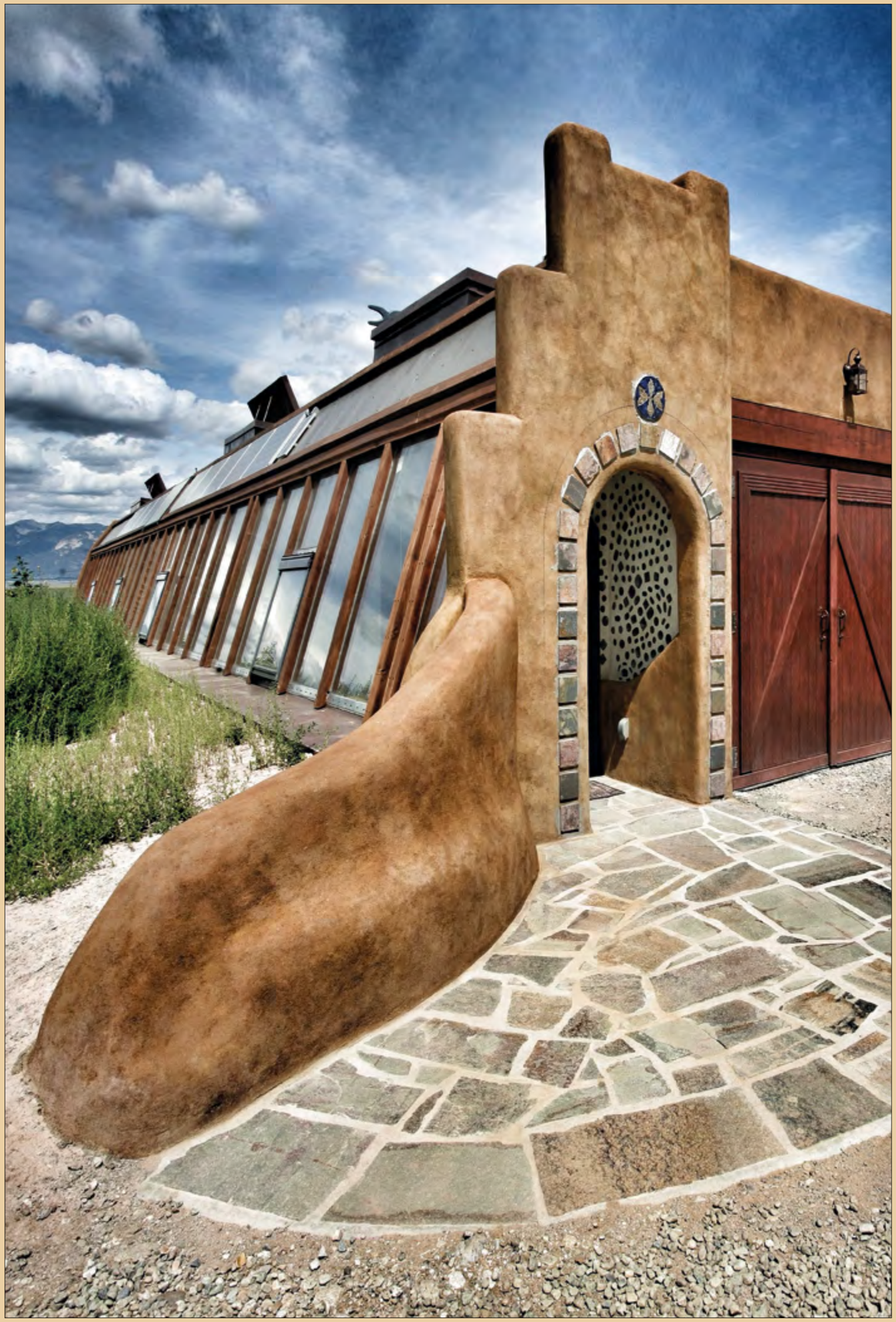

EARTHSHIP

Nowy Meksyk to jeden z tych stanów, które zazwyczaj mija się w podróży do gdzieś indziej. To jeden z tych bezkresnych pejzaży Ameryki, które szczególnie Europejczykowi nie mieszczą się w głowie. Pustynia i wielkie rdzawoczerwone nic, niemalże nieskończone, poddające w wątpliwość pojęcie tego, co oznacza daleko, a co blisko. Z tym właśnie pejzażem korespondują wyjątkowe budowle Michaela Reynoldsa. Wyrastają z ziemi zjednoczone z otoczeniem. Zbudowane są ze śmieci.

Tekst: Agata Morka, Zdjęcia: Kirsten Jacobsen (Earthship Biotecture)

Architektura rezydencjonalna to chyba jeden z najtrudniejszych tematów, jakich architekt może się podjąć. Chodzi przecież o zbudowanie domu; przestrzeni niezwykle intymnej, tak bardzo własnej, w obrębie której rozgrywa się codzienność. Konstruowanie domostw na przełomie XX i XXI wieku nabiera dodatkowej wagi: jak stworzyć swoją cichą przystań, która nie będzie raniła już i tak obolałej planety? Różnorakie odmiany nurtu zielonej architektury proponują alternatywne rozwiązania: od paneli słonecznych po budowanie chatek z gliny. Amerykański architekt Michael Reynolds postawił kwestię współczesnego ekologicznego domu w centrum swoich badań i działań. Przygodę z radykalnie zieloną biotekturą (połączenie architektury i biologii) rozpoczął wśród czerwonego bezkresu stanu Nowy Meksyk.

Chciałem ocalić swój własny tyłek

Earthship, technika budowania rozwinięta przez Reynoldsa, zdawać by się mogło, tak bezinwazyjna i oparta na poszanowaniu natury, wyrosła ze zwykłego dla rodzaju ludzkiego zainteresowania własnym ja. Zapytany o początki pomysłu, spiritus movens projektu odpowiada z rozbrajającą szczerością: *Chciałem ocalić swój własny tyłek*.

Od zawsze brakowało mu pokory. Już jego praca dyplomowa, której fragmenty opublikowano w 1971 roku w prestiżowym *Architectural Record*, wskazywała, że pójdzie on pod prąd. Buntuje się w niej przeciw istniejącemu status quo architektury lat siedemdziesiątych i proponuje obejście istniejących kodów budowlanych. Reynolds skupia się na architekturze mieszkaniowej, czyli na tym rodzaju budownictwa, który wchodzi w chyba najbardziej ścisłą interakcję z jej użytkownikiem. Podchodzi do reguł co najmniej kreatywnie, choć na tak wczesnym etapie kariery architekt stara się jeszcze, przynajmniej częściowo, wpisać swoją wizję w zastany pejzaż amerykańskich miast. Projekt, nazwany *asamblażem gruntu* (*land assemblage*), opiera się na schemacie charakterystycznej amerykańskiej siatki ulic, nadal traktując samochód jako główny punkt odniesienia i przyznając mu centralną rolę w planowanym przedsięwzięciu. Choć pojazd i ruch odgrywają bardzo istotną rolę w jego propozycji, to daleko mu do zmechanizowanej koncepcji Le Corbusiera i jego Planu Voisin. Radykalizm Reynoldsa oparty jest przede wszystkim na potrzebach człowieka i zdaje się być znacznie mniej arbitralny niż ten szwajcarskiego mistrza. ▸

WYOBRAŻAJĄC SOBIE DOM STWORZONY Z ODPADÓW I SUROWCÓW, KTÓRE ZNAJDUJĄ SIE W BEZPOŚREDNIM OTOCZENIU PLANOWANEGO MIEJSCA BUDOWY, Z MINIMALNYM ZASTOSOWANIEM POWSZECHNYCH I TYPOWYCH TECHNOLOGII, ŁATWO ZNIECHĘCIĆ SIĘ DO TEGO TYPU ARCHITEKTURY. OCZYWISTYM JEST, ŻE NIE KAŻDEMU BĘDZIE ODPOWIADAŁ STYL KLASYCZNYCH MEKSYKAŃSKICH EARTHSHIPÓW. JEDNAK WYSTARCZY ODROBINA WYOBRAŹNI, ABY UZYSKAĆ NIESAMOWITY EFEKT. NA TYCH ZDJĘCIACH WIDZICIE DOM, KTÓRY NIE WSTYDZI SIĘ SWOJEGO POCHODZENIA, A KAŻDY ELEMENT WNĘTRZA POPODKREŚLA JEGO KORZENIE. TO JEDNAK WYBÓR PROJEKTANTA. Z RÓWNYM POWODZENIEM POMIESZCZENIA MOGĄ BYĆ NOWOCZESNE I GŁADKIE, PROSTE, MINIMALISTYCZNE I FUNKCJONALNE. EKOLOGICZNĄ TECHNOLOGIĘ UKRYĆ MOŻNA POD PŁASZCZEM WYMUSKANYCH TYNKÓW, A WNĘTRZA WYPOSAŻYĆ W SPRZĘTY Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI. WAŻNE JEST, ABY UŻYTE METODY BUDOWLANE MINIMALIZOWAŁY WPŁYW CAŁEGO PRZEDSIĘWZIĘCIA NA ŚRODOWISKO I BYŁY Z NIM W ZGODZIE.

Jego niepewność wzbudza to, co niepokoiło również Jane Jacobs: powolne umieranie amerykańskich metropolii, których centra stają się puste, a których mieszkańcy bytują w standardowych domach na przedmieściach. Reynolds chce ocalić serce miasta, skomplikowane i wielofunkcyjne, w którym tereny komercyjne przeplatać powinny się z rezydencjonalnymi. Tłumaczy: *Serca naszych miast tracą swoją siłę, tak symbolicznie, jak i fizycznie. Dlatego proponuję „rezydencjonalny koc" (residential blanket) ponad kompleksem komercyjnym w środku miasta. Ten rezydencjonalny koc zwiększyłby powierzchnię użytkową gruntów poprzez utworzenie dodatkowych przestrzeni ułożonych jedne na drugich bądź zawieszonych ponad ziemią*. Czy Reynolds proponuje zatem cokolwiek innego, niż znane dzisiaj, aż za dobrze, drapacze chmur? Otóż tak. I nie chodzi tylko o dość ekstrawagancką formę sugerowanych budynków, których kształt odwołuje się do piramid, rozwiązując w ten sposób problem braku miejsca w gęstej tkance miejskiej. Już w pracy dyplomowej widać, jak ważne dla architekta są dwie wartości: wolność i ponowne użycie materiałów. Podkreśla: *Jednostki mieszkaniowe mogłyby być budowane indywidualnie (...) z taką samą wolnością, jak domy budowane na przedmieściach czy na terenach wiejskich. (...) Wraz ze zmianą potrzeb oryginalne mieszkania mogłyby być rozebrane, a na ich miejscu powstałyby nowe, ponownie używając poprzednich materiałów (...) Domy byłyby więc budowane z myślą o ich trwałości*.

Proponując użycie swojej superstruktury na szeroką skalę, Reynolds odnosi się także do problemu powtarzalności, pisząc: *Jeśli ten schemat byłby użyty na duża skalę w kilku miastach, to oryginalna superstruktura lub jej warianty mogłyby być powtórzone w każdym z miast, pozostając jednak dalekie od monotonii i stereotypów.* Architekt chce osiągnąć taki indywidualizm, zostawiając mieszkańcom wolność wyboru co do ostatecznych kształtów ich rezydencji. To, co indywidualne, przedkłada nad sztywny system i raczej nie spędzałyby mu snu z powiek spontaniczne ingerencje mieszkańców w tkankę budynku. A już na pewno nie wpadałby w szał, jak wielki Corbu, gdyby ktoś miał czelność zmienić kolor zasłon w jednym z jego budynków. Już we wstępie do tej wczesnej publikacji Reynolds prezentowany jest jako *wizjoner*. Tytuł ten, z całą jego nieco romantyzującą, jeśli nie pretensjonalną otoczką, oddaje jednak charyzmatyczną osobowość architekta i jego skłonność do awangardowych rozwiązań. Zresztą wygląda nawet jak czarodziej. Długie białe włosy, broda, intensywne spojrzenie, czynią z niego Gandalfa radykalnie zielonej architektury.

Pod prąd

Pierwsze eksperymenty z techniką earthship podjął już w rok po pamiętnej publikacji w *Architectural Record*. Do budowy *Thumb House* użył puszek, starych opon i odzyskanego szkła. Te materiały stały się podstawą do rozwinięcia sposobu budownictwa, które dziś opatrzone jest własnym znakiem towarowym i nazywa się *earthship biotecture*.

Reynolds dużo marzył. O domach samowystarczalnych. O domach bez rachunków za prąd i wodę. Niezależnych tak od politycznego systemu, jak i narzuconych budowlanych kodów. Earthship jest odpowiedzią na te, zdawać by się mogło, utopijne mrzonki. Eksperymentował z nowymi konstrukcjami w stanie Nowy Meksyk. Jak można było się spodziewać, jego próby nie spotkały się początkowo z przychylnością lokalnych władz, jako że stały w opozycji do wszystkich reguł. Przekonanie urzędników do spojrzenia łaskawszym okiem na tę radykalną architektoniczną przygodę wymagało od Reynoldsa nie lada poświęceń. Nie tylko musiał ściąć gandalfowe loki, ale i kupić garnitur, by pojawić się w sądzie i bronić swych racji. Ostatecznie stan Nowy Meksyk przydzielił mu teren dwóch akrów, na którym ekscentryczny kreator mógł robić, co tylko jego rogata dusza zapragnie. Władze zobowiązały się nawet do dostarczania mu odpadów, dowożąc transporty opon i butelek.

Z biegiem lat rozwinął podstawowy schemat konstrukcyjny domu, który występować może w różnych wariantach i połączeniach. Wszystkie struktury bazują jednak na tym samym założeniu: konstrukcja jest oparta o fundament/ścianę zrobioną z ponad 750 używanych opon wypełnionych ziemią. Do budowy ścian wykorzystuje się cement i puszki. Stanowią one swego rodzaju motyw dekoracyjny, pełniąc jednocześnie istotną funkcję konstrukcyjną – mają na tyle silną strukturę, że pozwalają na znacznie mniejsze zużycie cementu. Jako cegieł Reynolds używa również elementów szklanych, dwie sklejone ze sobą przecięte na pół butelki tworzą materiał tak wytrzymały, jak i ozdobny.

Kwestia ogrzewania rozwiązana jest w oparciu o słońce i wiatr. W najprostszej wersji domy opatrzone są najtańszymi panelami słonecznymi ustawionymi ponad oknami fasady. Bardziej rozbudowane wersje earthshipów mają własne elektrownie wiatrowe dostarczające domom energii. W wersji luksusowej ściany budynku dodatkowo akumulują ciepło w ciągu dnia, by potem w nocy oddać je otoczeniu. Wchodząc do domu, uderza nas upał. Skumulowane ogrzane powietrze w obrębie szklarni można jednak inteligentnie wykorzystać: w zimie otwierając drzwi prowadzące do dalszej części domu i wpuszczając ciepło do środka, a w lecie odcinając te przestrzeń od wnętrza i chłodząc je za pomocą ekologicznego systemu klimatyzacji. Wprowadzona głęboko w ziemię otwarta rura prowadząca od otworu wywietrznika w domu, poprzez połać gruntu znajdującego się na zewnątrz budynku, umożliwia mu oddychanie, a jego mieszkańcom zapewnia regulację ciepłoty pomieszczeń. Połączenie mocy szklarni i wywietrzników pozwala na utrzymanie stałej temperatury w domu na poziomie 21 stopni.

Wodę wykorzystuje się tutaj do ostatniej kropli i to w czterech cyklach. Po pierwsze, zbiera się deszczówkę: pokrycie dachu i jego pochylenie umożliwia jej spływanie do sieci niby-rur z filtrami. W momencie, gdy woda dociera do domu, jest już zupełnie oczyszczona i nadaje się do picia. Po drugie, użytej wody się nie marnuje, to zbyt cenny towar, szczególnie w suchym klimacie Nowego Meksyku.▶

OGRÓD ZIMOWY ZNAJDUJĄCY SIĘ PRZED FRONTOWĄ ŚCIANĄ DOMU NIE JEST TYLKO OZDOBĄ I PRZESTRZENIĄ DO RELAKSU. PEŁNI PRZEDE WSZYSTKIM ROLĘ STREFY BUFOROWEJ. ZIMĄ IZOLUJE OD CHŁODU, A LATEM OD UPAŁU. POZWALA TEŻ, DZIĘKI PODSTAWOWYM PRAWOM FIZYKI, STEROWAĆ PRZEPŁYWEM POWIETRZA WE WŁAŚCIWYM KIERUNKU - PRZECIEŻ KAŻDY Z NAS WIE, ŻE CIEPŁE POWIETRZE CHĘTNIE UNOSI SIE DO GÓRY, A ZIMNE WRĘCZ PRZECIWNIE. TA PROSTA ZASADA POZWALA TAK ZAPROJEKTOWAĆ SYSTEM WENTYLACJI W POŁĄCZENIU ZE SZKLANYM PRZEDSIONKIEM, ABY POWIETRZE UDAŁO SIE DOKŁADNIE TAM, GDZIE CHCEMY JE SKIEROWAĆ.

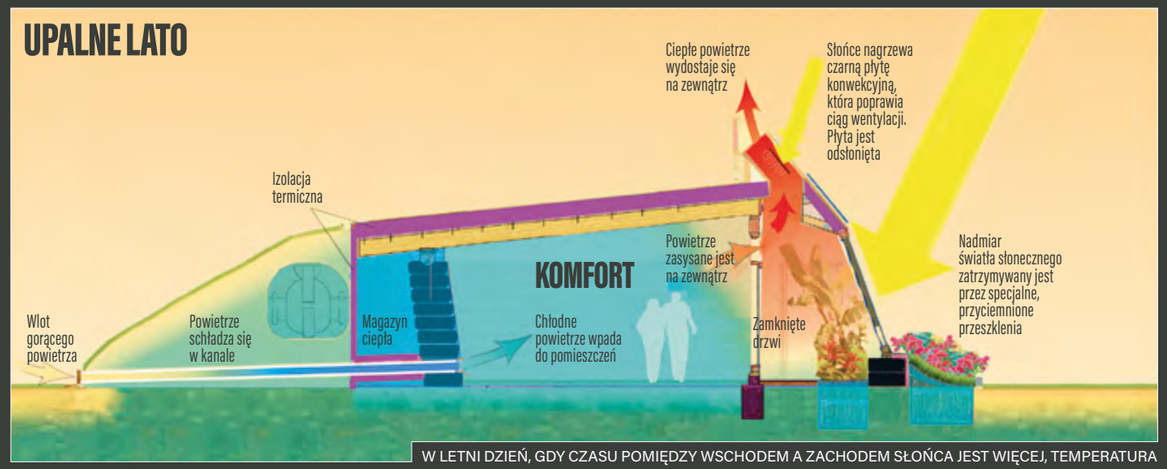

W LETNI DZIEŃ, GDY CZASU POMIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM SŁOŃCA JEST WIĘCEJ, TEMPERATURA OTOCZENIA WYŻSZA, A DO ZIEMII DOCIERA WIĘCEJ PROMIENI SŁONECZNYCH, DOM GROMADZI CIEPŁO, ABY NASTĘPNIE UWOLNIĆ JE NOCĄ. AKUMULACJA ENERGII REALIZOWANA JEST NIE TYLKO DZIĘKI ODPOWIEDNIEMU STEROWANIU PRZEPŁYWEM POWIETRZA PRZEZ WSZYSTKIE ELEMENTY SYSTEMU WENTYLACJI, ALE TAKŻE POPRZEZ UMIESZCZENIE W TYLNEJ CZĘŚCI DOMU MAGAZYNU WYKONANEGO Z ODPOWIEDNICH MATERIAŁÓW. JEGO WIELKOŚĆ Z POWODZENIEM WYSTARCZY, ABY NAGROMADZONE W CIĄGU DNIA CIEPŁO ZAPEWNIŁO W POMIESZCZENIACH KOMFORTOWE WARUNKI NOCĄ. ENERGIĘ CIEPLNĄ GROMADZI TAKŻE ZNAJDUJĄCY SIĘ ZA DOMEM NASYP ORAZ CAŁA POWIERZCHNIA GRUNTU ZNAJDUJĄCEGO SIĘ BEZPOŚRENIO POD PODŁOGĄ. W EARTHSHIPIE KAŻDY ELEMENT MA ZNACZENIE: ROŚLINNOŚĆ POPRAWIA JAKOŚĆ POWIETRZA, OGRÓD ZIMOWY STANOWI BUFOR, KTÓRY UŁATWIA STEROWANIE CYRKULACJĄ POWIETRZA I MA DUŻE ZNACZENIE IZOLACYJNE ZIMĄ. KLUCZOWE JEST TEŻ TAKIE POŁOŻENIE DOMU WZGLĘDEM STRON ŚWIATA, ABY OPTYMALNIE WYKORZYSTAĆ ŚWIATŁO SŁONECZNE NIEZALEŻNIE OD PÓR ROKU.

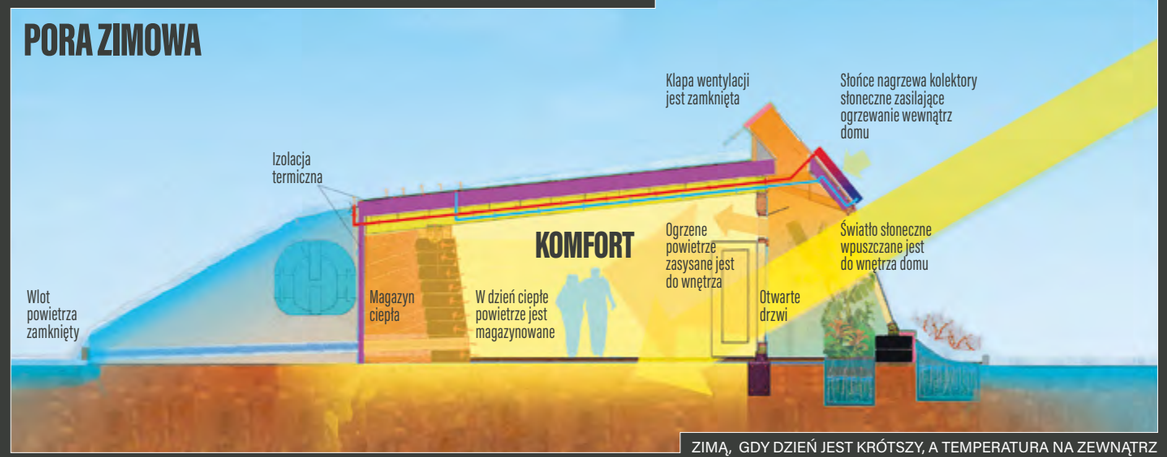

ZIMĄ, GDY DZIEŃ JEST KRÓTSZY, A TEMPERATURA NA ZEWNĄTRZ NISKA, CAŁKOWICIE ZMIENIANY JEST OBIEG POWIETRZA WEWNĄTRZ BUDYNKU. PADAJĄCE POD MNIEJSZYM KĄTEM PROMIENIE SŁONECZNE ŁATWIEJ DOSTAJĄ SIĘ DO WNĘTRZA, SIĘGAJĄC POZA STREFĘ BUFOROWĄ I NAGRZEWAJĄC WIĘCEJ POWIETRZA. UMIESZCZONE NA DACHU KOLEKTORY SŁONECZNE OGRZEWAJĄ CZYNNIK GRZEWCZY, KTÓRY ODPOWIEDNIĄ INSTALACJĄ ROZPROWADZANY JEST DO POMIESZCZEŃ. BARDZO WAŻNE, ZARÓWNO ZIMĄ, JAK I LATEM, JEST WŁAŚCIWE ZAIZOLOWANIE CAŁEGO BUDYNKU, RAZ CHRONIĄC PRZED PRZEGRZANIEM, A INNYM RAZEM PRZED WYZIĘBIENIEM. WARTO PAMIĘTAĆ, ŻE POZA ROZWIĄZANIAMI NATURALNYMI POMOCNE SĄ ROZMAITE TECHNOLOGIE. WSPOMNIANE KOLEKTORY SŁONECZNE NAGRZEWAJĄ WODĘ DO UTRZYMANIA CIEPŁA WEWNĄTRZ LUB MYCIA, BATERIE SŁONECZNE OBNIŻAJĄ KOSZTY ZUŻYWANEJ ENERGII ELEKTRYCZNEJ, A NOWOCZESNE PRZESZKLENIA UŁATWIAJĄ REGULACJĘ WPUSZCZANEGO DO ŚRODKA ŚWIATŁA SŁONECZNEGO. TE OSTANIE, W NAJDROŻSZYM I NAJSKUTECZNIEJSZYM WYDANIU, TO SZYBY ELEKTROCHROMATYCZNE. POZWALAJĄ ONE NA DOWOLNE STEROWANIE PRZEPUSZCZALNOŚCIĄ OKIEN, JEDNAK ICH KOSZT MÓGŁBY UCZYNIĆ DOM PRZYJAZNY ZIEMI ZBYT DROGIM.

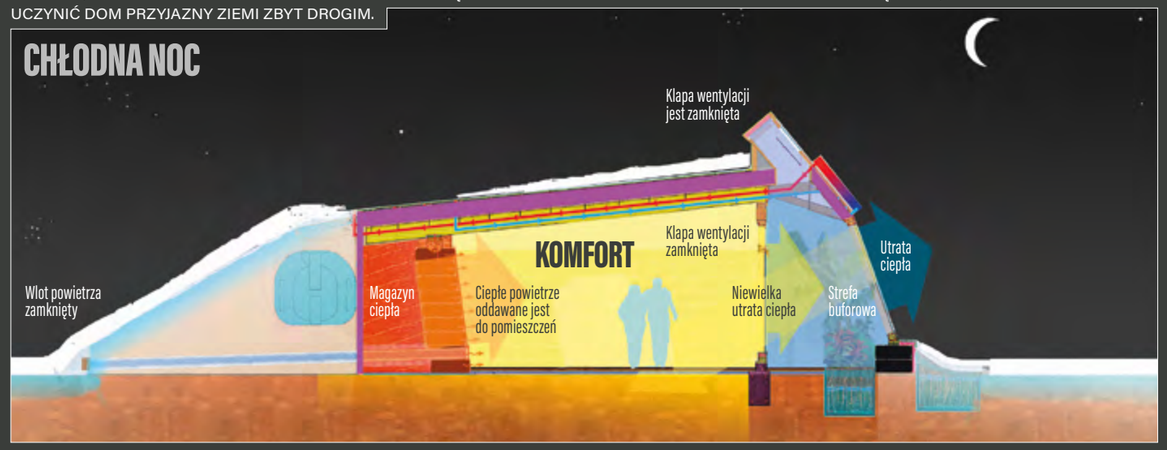

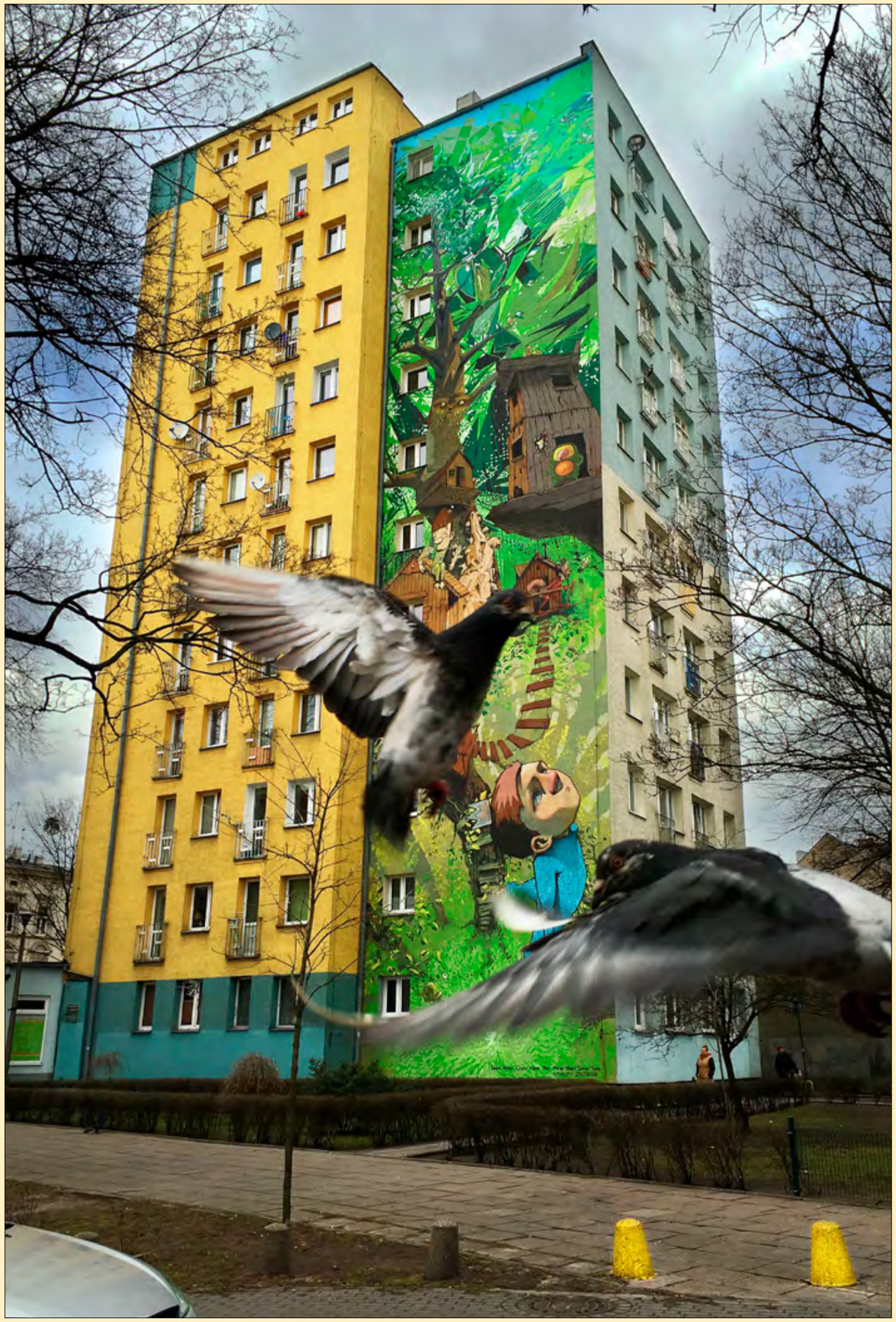

Autorzy muralu: **Grupa City2City** [Polska] | Rok 2009 | **Bydgoszcz** | ul. Zygmunta Moczyńskiego

Przebarwienia

Ekscytująca feeria barw, celny przekaz poruszający aktualne tematy i komponujący się z otoczeniem, wyrastający ze ścian domów codziennie przez nas mijanych. Skąd wziąć bardziej przekonujące tło dla treści adresowanych do szerokiej publiczności? Czy da się znaleźć bardziej przyjazne środowisko od tego, które znamy i z którym się identyfikujemy? Street art, bo o nim mowa, coraz częściej staje się narzędziem inteligentnego marketingu i gry wizerunkowej. Co to oznacza dla artystycznego języka ulicy?

Tekst: Dexter Wols, Zdjęcia: Anna Jan, Dexter Wols

Zadając te pytania, naszkicowałem właściwie definicyjny fundament pomagający rozstrzygnąć, czym street art jest. Szerszy pogląd terminologiczny daje Tomasz Sikorski, który w swoim artykule *Czy street art jest sztuką?* pisze, że w obszarze sztuki ulicznej mieszczą się najróżniejsze formy artystycznych działań realizowanych i/lub prezentowanych na ulicach miast bądź w przestrzeni miasta. Trudno w jednoznaczny sposób wskazać, kto i kiedy użył po raz pierwszy tego pojęcia, ale za umowną datę przyjmuje się 1985 rok i publikację książki Allana Schwartzmana pt. *Street art*. Jak kontynuuje Tomasz Sikorski, w Polsce wspomniana nazwa funkcjonuje od roku 2000 i kojarzona jest z kulturą młodzieżową.

Mural twarzą polskiego street artu

Choć niektórzy, tak jak Michał Barcik, twierdzą, że murale mają niewiele wspólnego ze street artem, to polskie ulice zdają się temu przeczyć. Żeby jednak móc podjąć jakąkolwiek dyskusję o ich polskich przykładach, spróbujmy nazwać to zjawisko. *Mały słownik terminów plastycznych* autorstwa Krystyny Zwolińskiej i Zasława Malickiego podaje, iż murale to nazwa pochodzenia hiszpańskiego, która oznacza w skrócie dekoracyjne malarstwo ścienne. Całość dookreśla Marzena Talaj w swoim artykule *Murale – polska specjalność*, pisząc o ich reklamowym, społecznym i artystycznym charakterze. Ponadto wielkoformatowość tych ściennych malowideł związana jest z legalnym działaniem i wynika z aktywności artystów lub grup społecznościowych związanych z konkretnym projektem artystycznym.
W tym miejscu przychodzi refleksja… Trudno się bowiem oprzeć wrażeniu, że nastąpiła zmiana pierwotnego przekazu, jaki nieść miały ze sobą ścienne ilustracje. W przeszłości odgrywały przede wszystkim rolę społeczną, dzisiaj jednak ich użyteczność znacznie się rozszerzyła, przyjmując także rolę doskonałego nośnika wszelkich treści reklamowych. Nie oznacza to, że nie powstają dzieła społecznie zaangażowane, choć wokół kwestii tego środka artystycznego wyrazu pojawia się coraz większa ilość znaków zapytania i chwila chwały, jaką od pewnego czasu przeżywają murale, niebawem może stać się przyczyną ich zapomnienia.

Kontrowersje wokół street artu

Kreatywność i przekaz street artu nie tylko rozpalają rozum i wyobraźnię, ale również potrafią rozepchać zawartość portfela. Rosnąca fala popularności tego typu kreacji spowodowała, że prace *ulicznych artystów* trafiły między innymi na tradycyjne aukcje sztuki, które motywowane są głównie komercyjnie. A przecież trend ten wyrasta z żywiołowego komentowania i kontestacji niedoskonałej rzeczywistości. Wszak jego przejawy wielokrotnie uchodzą za elementy wandalizmu, choć coraz częściej nimi nie są. Konsternację pogłębia fakt włączenia tego typu twórczości w poczet głównego nurtu sztuki, co stanowi wykroczenie wobec niezależnej natury street artu, jego niestandardowej i krytycznej postaci. Proces ten wygląda na próbę ucywilizowania i okiełznania twórczości ulicznej, która dotąd wymykała się sztampowej konwencji komentarza. Kolejne pytanie dotyczy samej formy jej dzieł i użytych do ich realizacji technik. Trudno bowiem uznawać jakiekolwiek emanacje street artu, na przykład na płótnie, za pełnoprawną reprezentację tej dziedziny sztuki.

Fenomen murali

Na czym polega moc murali? Można śmiało zaryzykować stwierdzenie, że ich popularność i zwiększająca się liczba wynikają z rodowodu, nieodzownie miejskiego charakteru, który nie ma nic wspólnego ze szkaradną płachtą reklamową wciskającą zbędne produkty lub usługi. Marketing szybko jednak zorientował się, że i w tym przejawie spontanicznej ekspresji artystycznej drzemie gigantyczny potencjał sprzedażowy i wizerunkowy. ▶

KAMIENICA SKROJONA DLA RÓŻNORODNYCH MIĘSZKAŃCÓW
DOM DYREKCJI KOLEI PAŃSTWOWYCH
ULICA SŁOWACKIEGO 41/43

8 WYBRANYCH POWODÓW, DLA KTÓRYCH WARTO ZGUBIĆ SIĘ W MODERNISTYCZNYCH KATOWICACH

TEKST: **ALEKSANDRA CZAPLA-OSLISLO**, ILUSTRACJE: **ZOFIA OSLISLO**, ZDJĘCIE: **VOJTĚCH VEŠKRNA**

MODERNA DLA PRZEDSZKOLAKÓW
OGRÓD JORDANOWSKI | ULICA BARBARY 55

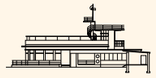

Rozwój miasta i napływ ludności spowodowały konieczność otwierania nowych przedszkoli i szkół. Budowaniu odpowiednich przestrzeni dla dzieci i młodzieży patronowało Warszawskie Centralne Towarzystwo Ogrodów Jordanowskich. Modne były wówczas reformy pedagogiczne łączące edukację z rozwojem fizycznym i spędzaniem czasu wolnego na powietrzu. Projekt ogrodu jordanowskiego Kazimierza Wędrowskiego to jeden z najlepszych modernistycznych obiektów Katowic. Na zamknięty teren prowadzi zachowana do dziś oryginalna brama ze stróżówką i nautycznym oknem. Na dachu parterowego budynku zaplanowano *solarium do kąpieli powietrzno-słonecznych*. Całość bryły przypomina w formie okręt z masztem i tarasem na dziobie. We wnętrzu budynku znalazły się między innymi gabinet lekarski oraz miejsce do wydawania posiłków dla dzieci. Niestety, w unikatowym kompleksie nie zachowały się baseny na otwartym powietrzu. W układzie ogrodu obok boisk i basenów znalazło się także miejsce na *plac do inscenizacji* – dziś z niewielkiego plenerowego teatru z amfiteatralną widownią korzystają przedszkolaki i harcerze mający w tym samym budynku siedzibę hufca.

KAMIENICA SKROJONA DLA RÓŻNORODNYCH MIESZKAŃCÓW
DOM DYREKCJI KOLEI PAŃSTWOWYCH | ULICA SŁOWACKIEGO 41/43

Aby wyobrazić sobie, ile emocji i kontrowersji budziły modernistyczne kamienice, trzeba spojrzeć na okazały dom Dyrekcji Kolei, który w 1931 roku, jako plomba, wdarł się bezkompromisowo pomiędzy dwie XIX-wieczne kamienice i odważnie wspiął się na poziom siedmiu kondygnacji ze strychem. Prowokował bardzo plastyczną fasadą z różnorodnymi krzywiznami, półkolistymi balkonami i przeszklonymi na sporej powierzchni wysuniętymi werandami. Autor projektu, Tadeusz Michejda, nie rozporządzał przestrzenią równo, jak robiło się wcześniej – celowo zaplanował mieszkania o zróżnicowanym metrażu na każdym z pięter. Najdłuższa część mieściła lokale dla wieloosobowych rodzin i mniejsze apartamenty – kawalerki; projekt przewidywał mieszkania z pokojem stołowym, osobnymi sypialniami dla rodziców i dzieci, łazienką, kuchnią. Architekt zdecydował raz na zawsze: różne potrzeby – różny metraż.

MODERNISTYCZNA ZEBRA
DOM DOKTORA KAZIMIERZA WĘDLIKOWSKIEGO | ULICA PCK 10

Jedna z piękniejszych modernistycznych kamienic to dom z tarasem na dachu, który miał częściowo służyć jako klinika dla kobiet – jej właściciel, doktor Kazimierz Wędlikowski, był ordynatorem Oddziału Położniczo-Ginekologicznego w Szpitalu w Katowicach. Pięciopiętrową kamienicę zdobi zaokrąglony narożnik z oknami o specjalnych zakrzywionych szybach. Pasy okien i balkonów posiadają kontrastujące kolory, dlatego dom przez katowiczan często nazywany jest *zebrą*. Klatka schodowa zachowała się w bardzo dobrym stanie, można tam do dziś oglądać oryginalne okładziny ścian, lastriko na podłodze, chromowane i drewniane balustrady, zachowane dzwonki do drzwi, skrzynki na listy oraz odremontowaną przedwojenną windę marki Sowitsch z kryształowym lustrem. W czasie okupacji, ze względu na wysoki standard, dom został przeznaczony na mieszkania dla dygnitarzy niemieckich. Po wojnie budynek spotkał podobny los – apartamenty dostali tam wysocy oficjele partyjni, choć jeden lokal cały czas należał do rodziny Wędlikowskich. Po 1989 roku dom wrócił w całości w ręce właścicieli. Dzięki ich uprzejmości (administratorem jest wnuk doktora Wędlikowskiego) kamienica jest otwarta w godzinach urzędowania znajdujących się w budynku firm, aby każdy mógł oglądać piękno modernistycznych rozwiązań nie tylko z zewnątrz.

DOM À LA VILLA LE CORBUSIERA
WILLA MECENASA EDMUNDA KAŹMIERCZAKA | ULICA BRATKÓW 4

Willa zbudowana na zlecenie mecenasa Edmunda Kaźmierczaka to jedyny jednorodzinny dom w Katowicach, do którego budowy użyto żelaznej konstrukcji szkieletowej – rozwiązanie było na tyle kosztowne, że stanowi ona pojedynczy taki przypadek międzywojennego budownictwa mieszkaniowego i jeden z niewielu tego typu na świecie. Modny w owym czasie płaski dach został w pełni wykorzystany na potrzeby mieszkańców, tworząc na górze ogród. Willę wybudowano wraz z garażem, co było innowacją jak na ówczesne czasy. Na samochód mogli bowiem pozwolić sobie tylko najzamożniejsi. Po wojnie, jak głosi miejska legenda, swoje auto parkował tutaj pisarz Alfred Szklarski, autor cyklu przygód Tomka Wilmowskiego. Obecnie w budynku znajduje się restauracja *Bohema*, dzięki temu można częściowo obejrzeć jego wnętrze, które zachowało kilka oryginalnych rozwiązań z czasów pierwszych właścicieli. Co ciekawe, mimo nowoczesnej architektury plan willi odzwierciedla wciąż panujący w ówczesnym społeczeństwie model patriarchalny. Pan i pani domu mają tutaj odpowiednio określoną rolę i wydzielone strefy. Na rzucie widać osobne zaciszne pokoje – gabinet dla mężczyzny, oddaloną od niego przestrzeń dla pani domu i sąsiadujące z nią pokoje dziecięce.

▶

172 000 M³ DO NAUKI!
ŚLĄSKIE TECHNICZNE ZAKŁADY NAUKOWE
ULICA KRASIŃSKIEGO 8

172 000 M³ DO NAUKI!
ŚLĄSKIE TECHNICZNE ZAKŁADY NAUKOWE | ULICA KRASIŃSKIEGO 8

Jest w Katowicach miejsce, które na długo stało się wzorem nowoczesnej szkoły technicznej nie tylko na Śląsku, ale i w Polsce. Zadanie dla architektów było wymagające: należało połączyć sale wykładowe i warsztaty w jednym miejscu. Wygrała koncepcja ogromnego żelbetonowego budynku o kubaturze 172 000 m³! Korytarze w Pałacu Techników mają ponad trzy kilometry długości i łączą 70 różnorodnych sal. Wewnątrz znajdowały się dwie sale gimnastyczne, aula wysoka na osiem metrów, w której mogło się zmieścić 1500 osób, sale badawcze ze specjalnym bocznym i górnym doświetleniem, sale do rysunku, modelarnia, biblioteka, czytelnia i sale warsztatowe. Przewidziano nawet własną elektrownię do zasilania części maszyn czy salę radiową ze stacją nadawczą. Województwo z premedytacją chwaliło się budynkiem na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu już w 1929 roku. W owym czasie był to jeden z największych kompleksów edukacyjnych w Europie. Na uroczystość otwarcia Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych specjalnie przyjechał do Katowic prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacy Mościcki. Proponowany program nauczania był od początku interdyscyplinarny i, co ciekawe, powstał na podstawie ankiet, które przeprowadził Wydział Oświaty Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego. Do wyboru były między innymi wydziały: budowlany, chemiczny, ceramiczny czy administracji przemysłowej.

GMACH ZACUMOWANY PRZY ULICY
ZAKŁAD HIGIENY ŚRODKÓW ŻYWNOŚCIOWYCH | ULICA RACIBORSKA 41

W Katowicach lat 30. zachłystywano się zdobyczami techniki, od takich inspiracji nie uciekała też architektura. Miłość do aerodynamiki i samolotów czy transatlantyków wyrażano poprzez krzywizny, zaokrąglenia i wygięcia fasad w literę *s*. Tak zwany styl *streamline moderne* był wówczas popularny także w projektowaniu przedmiotów: bez kątów prostych i z zatartymi granicami pomiędzy poszczególnymi częściami. Opływowe kształty, zaczerpnięte z przemysłu stoczniowego, stały się nagle wyjątkowo modne i nadały nazwę artystycznemu stylowi. Odwołanie się do formy transatlantyku poza wyborem formalnym było także deklaracją patriotyczną. Dumę II Rzeczpospolitej stanowiły transatlantyki: MS Piłsudski i Batory, nad projektem wnętrz i wystroju których czuwała specjalna Podkomisja Artystyczna, między innymi decydując o wyglądzie pomieszczeń, zastawy stołowej czy karty dań. Co ciekawe, morskie motywy dominowały nie tylko w budującej się portowej Gdyni, która dziś chwali się szlakiem modernistycznej architektury jako turystyczną atrakcją. Budynki o zaokrąglonych narożnikach, nautycznych oknach, chromowanych balustradach oraz arasach na dachach nawiązujących do pokładów statków pojawiły się także daleko od morza, w Katowicach. Na wzór okazałego okrętu powstała Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna. Wykonywano tu między innymi: badania bakteriologiczne, epidemiologiczne, prowadzono dozór nad artykułami żywności i badania naukowe o higienie publicznej.

NOWA PRZESTRZEŃ DLA DŹWIĘKÓW
GMACH ROZGŁOŚNI KATOWICKIEJ | ULICA LIGONIA 29

Rozgłośnia w Katowicach rozpoczęła nadawanie w 1927 roku jako czwarta w kraju, po Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Studia radiowe początkowo rozsiane były w różnych lokalizacjach miasta. Bezsprzecznie istniało zapotrzebowanie na nową siedzibę i w czerwcu 1936 roku dyrekcja radia zaprosiła trzy zespoły architektów do prestiżowego konkursu. Gmach według projektu Tadeusza Łobosa był pierwszym w Polsce budynkiem zbudowanym na potrzeby radia i jednym z najnowocześniejszych w Europie. Prace wykonywała katowicka firma i po niespełna roku, w sierpniu 1937, modernistyczny budynek został ukończony. Według koncepcji wewnątrz zaplanowano aż cztery studia (w tym jedno koncertowe mogące pomieścić całą orkiestrę symfoniczną) i amplifikatornię – miejsce z urządzeniami do emisji programów i aparaturą do nagrywania płyt. W programie Radia Katowice dominowały w tym czasie audycje muzyczne, transmitowano na przykład: koncerty ze Śląskiego Konserwatorium, opery z Teatru Polskiego (dziś Teatr Śląski), a muzykę taneczną z kawiarni „Astoria" i „Europa". Przed wojną na frontowej ścianie, kryjącej przeszkloną klatkę schodową, umieszczono świecący neon, który został zniszczony we wrześniu 1939 roku. Dzięki zachowanym fotografiom udało się odtworzyć napis „POLSKIE RADIO" zgodnie z zastosowanym przedwojennym krojem liter – dodano tylko ostatnie słowo „KATOWICE".

POLSKIE CHICAGO
GMACH URZĘDU SKARBOWEGO I BUDYNEK MIESZKALNY | ULICA ŻWIRKI I WIGURY 15/17

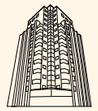

Śląsk, ta najbardziej amerykańska dzielnica Polski, wyprzedził inne dzielnice pod względem „pięcia się ku górze". Powstaje tutaj pierwszy wielopiętrowy budynek, jeden z najwyższych w Europie. Stal jest kośćcem budowli wielopiętrowej, toteż nic dziwnego, że Śląsk – ojczyzna polskiej stali – pierwszy buduje szkieletowe drapacze – pisał w 1932 roku Witold Kłębkowski w szóstym numerze prestiżowego czasopisma „Architektura i Budownictwo". Do dziś dumą miasta jest czternastopiętrowy gmach, który sprawił, że o Katowicach pisano jako o polskim Chicago. Drapacz chmur wyraźnie dzieli się na dwie części, także ze względu na funkcję: do szóstego piętra ulokowano biura urzędów, w tym dwóch urzędów skarbowych czy wydziału akcyz i monopoli, resztę stanowiły mieszkania. Obiekt stał się na tyle znany, że nie tylko zdobił choćby pocztówki z Katowic, ale i został tematem jednego z filmów o budownictwie żelazno-szkieletowym, którego premierę pokazano w 1931 roku. Połowę powierzchni drapacza zajmują mieszkania (od kawalerek po luksusowe pięcio- i sześciopokojowe). Poza urzędnikami po wojnie mieszkali tu między innymi ludzie kultury, na przykład Gustaw Holoubek czy Kazimierz Kutz. W piwnicach ulokowano kotłownię, pralnię, suszarnie mechaniczne, transformator, stację hydroforową czy magazyny urzędów i skarbiec kasy skarbowej. Dla wygody użytkowników drapacz wyposażony był w trzy windy: dwie dwuosobowe (w tym jedną szybkobieżną, zatrzymującą się od szóstego piętra) i jedną osobowo-towarową. {S}

DESIGN

BROOKS STEVENS {32}, COŚ W TEN DESEŃ {38}
HEVEN IS A PLACE ON EARTH {42}

Zdjęcie: IWP/East News, Tadeusz Sumiński

NA ZDJĘCIU PO PRAWEJ PŁASZCZ MĘSKI JESIENNY AUTORSTWA KRYSTYNY BALLABAN, WARSZAWA 1959 ROK.

ZDJĘCIA Z ZASOBÓW MILWAUKEE ART MUSEUM [http://mam.org]
Globe Corporation, **Globester 1946**, Brooks Stevens Archive, Milwaukee Art Museum, Gift of the Brooks Stevens Family and the Milwaukee Institute of Art and Design

BSA_0688
1946

BROOKS STEVENS

Lepszy model
Grass is always greener sort of thing...

Chłopiec z polio, któremu nie wróżono nawet, że będzie mógł chodzić. Student bez dyplomu. Nieuleczalny pasjonat samochodów. Brooks Stevens, jeden z pionierów projektowania przemysłowego w Stanach Zjednoczonych, to człowiek, który urzeczywistnił swoimi dokonaniami amerykański sen i nadał mu realny kształt.

Tekst: **Agata Morka**, Zdjęcia: z zasobów Milwaukee Art Museum

Kariera Stevensa to intrygujące studium przypadku, na podstawie którego prześledzić można, jak na przestrzeni 60 lat ubiegłego wieku zmieniała się pozycja projektanta przemysłowego w Stanach Zjednoczonych. To także historia człowieka obdarzonego niezwykłym wyczuciem rynku, rozumiejącego klienta i słuchającego jego potrzeb. Tworzone przez niego projekty zorientowane są na użytkownika podwójnie: nie tylko wpisują się w jego wymogi, ale i rozpalają w nim chęć na więcej: na lepszy model.

BIZNES NA PRAWIE DZIKIM ZACHODZIE

Stevens rozpoczyna pracę jako designer w co najmniej trudnych czasach. Wraca do Milwaukee bez dyplomu z Cornell, na którym studiował architekturę od 1928 do 1933 roku. W okresie studiów nieustannie popadał w konflikty z wykładowcami, którzy jego zainteresowanie samochodami postrzegali jako nieprzystojną rozrywkę odciągającą studenta od prawdziwych zadań architekta. Początek lat trzydziestych w Stanach Zjednoczonych, niedługo po wielkiej panice Czarnego Czwartku, to czas, kiedy liczy się spryt i umiejetność przetrwania. Te dwie cechy zdaje się w sobie łączyć ojciec Brooksa, William Clifford Stevens, wówczas wysoko postawiony pracownik firmy Cutler-Hammer produkującej silniki. To on właśnie zaszczepił w młodym Brooksie miłość do samochodów i wprowadził go na inżynieryjne salony Milwaukee. Za jego namową w 1935 roku młody Stevens zakłada własną firmę konsultingową mającą świadczyć usługi projektowe dla dużych firm. Zamiast w Nowym Jorku otwiera ją w rodzinnym Milwaukee. Jednym z pierwszych klientów nieprzypadkowo jest firma jego ojca, jednak wkrótce początkujący przedsiębiorca pozyskuje kolejne zamówienia, już niekoniecznie ze względu na znajomości, ale po prostu dlatego, że jego projekty są dobre. Nadal jednak boryka się z brakiem zrozumienia co do jego ekstrawaganckiej, jak na owe czasy, profesji. Wspomina: *Musiałem walczyć o to, by choćby móc porozmawiać z kimkolwiek w latach trzydziestych. Musiałem nie tylko tłumaczyć samego siebie, ale i mój zawód*[1]. Robił to najwyraźniej bardzo umiejętnie, bo w cztery lata później firma liczyła już pięciu pracowników, a portfolio klientów urosło do trzydziestu. Brooks projektował w zasadzie wszystko, od akcesoriów kuchennych, po suszarki do ubrań. W ciagu swojego życia stworzył około trzy tysiące produktów, pracując dla 585 różnych klientów. Wraz z dziewięcioma innymi branżowymi twórcami uczestniczył w formowaniu Stowarzyszenia Projektantów Ameryki (Designers Society of America), które rozwinęło się później w jedną z najważniejszych organizacji tego typu o światowej randze. Stevens po prostu zrobił karierę, i to karierę nadzwyczajną, otwierając nowe sposoby myślenia o projektowaniu przemysłowym i roli konstruktora. Zresztą sam miał do tej właśnie roli niezwykle trzeźwe podejście.

PROJEKTANT PRZEMYSŁOWY TO NIE SPRAWCA CUDÓW[2]

Stanowił bowiem ciekawe połączenie pewnej dawki romantyzmu z bardzo pragmatycznym sposobem traktowania procesu realizacji konceptu. Podczas gdy swoje dzieciństwo relacjonuje z dużą nutą nostalgii, rozpisując się o zadymionych pokojach hotelowych, w których jego ojciec zachwalał zalety nowych systemów zmiany biegów, to do kwestii zawodowych podchodzi z dużą dozą zdrowego rozsądku. W jego myśleniu nie ma miejsca na heroiczne narracje, a designer według niego powinien skupiać się przede wszystkim na funkcjonalności i rentowności produktów, które wychodzą spod jego ręki. Brooks powiadał: *Projektant przemysłowy w dzisiejszym świecie biznesu powinien być w zasadzie biznesmanem, inżynierem i stylistą – i to w takiej kolejności*[3]. ▶

[1] **John Holusha, Brooks Stevens,** 83, Giant in Industrial Design, the New York Times, January 7, 1995. (tłumaczenie autorki)

[2] **Brooks Stevens,** Industrial Designer is No Miracle Man, Industrial Strength Design: How Brooks Stevens Shaped Your World, MIT Press, 2013.

[3] **John Heskett,** The Desire for the New, Industrial Strength Design: How Brooks Stevens Shaped Your World, MIT Press, 2013.

KULTURA

PO CO NAM KULTURA {50}, ZACZĘŁO SIĘ OD KONIA, A S(KOŃ)CZYŁO NA TYM... {56}
PO NITCE DO CZŁOWIEKA {60}, NIC DWA RAZY SIĘ NIE ZDARZA {66}, {SLOW}⁹ {69}
DROGA DO TRACHINKI - EPIZOD I {70}, SATYRA NA POWIERZCHOWNOŚĆ I LUDZKĄ GŁUPOTĘ {78}

Zdjęcie: Romina Ressia

Po co nam kultura?

Żyjemy w niej zanurzeni po uszy, tworzymy ją bezwiednie na różnych poziomach. Zapytani, czym jest kultura, mamy jednak trudność z odpowiedzią, a kiedy pogłębimy indagację i zapytamy po co nam ona, popadamy w zupełne pomieszanie. Warto więc uporządkować powyższe kategorie i zastanowić się, w jakim miejscu obecnie jesteśmy. W jakiej relacji z nią pozostajemy, czy świadkujemy jej kryzysowi oraz dokąd to wszystko zmierza?

Tekst: Roger Weichert, Zdjęcia: Romina Ressia (www.rominaressiaph.com)

W pewnym sensie kultura jest dzieckiem burzy, która konstytuuje się z nieprzejednania oraz uporczywości spotkań wolności i zależności, jak to pisze Zygmunt Bauman – radości tworzenia i niedoli poddania[1]. Borykamy się z kulturą, próbujemy ją zrozumieć, ale sprawia nam to niemałą trudność, do tego stopnia, że potrafimy wściekle podważać zasadność jej istnienia. No właśnie, po co nam ona? Zanim o tym, rozszyfrujmy, z czym przyszło nam się mierzyć i do czego zgłaszać pretensje.

Czym jest kultura i jakie są jej źródła?

Pojęcie kultury zrodziło się w drugiej połowie XVIII wieku w państwach Europy Zachodniej. *Francuskie „civilisation", niemieckie „Bildung", angielskie „refinement" – trzy dyskursywne potoki, jakie zlać się miały później w jeden nurt kulturowego dyskursu – były wszystkie nazwami „czynności". Mówiły o tym, co się robiło lub co zrobić należało: o cywilizowaniu, kształceniu, naprawie obyczajów. Wszystkie trzy wyrażały niepokój o potrzebę działania*[2]. W bardziej lub mniej bezpośredni sposób kreowały przekaz mówiący o konieczności cywilizowania ludzi, co miałoby uchronić ich od epidemii prymitywizmu i surowości obyczajów, a także od chaosu, który agresywnie napiera na kruchą konstrukcję człowieczej kondycji. Duch działania i gotowość do jego podjęcia wyrażały się właśnie w pojęciu kultury czyniącym świat dwubiegunowym, rozróżniającym ludzką wspólnotę na przewodników i przewodzonych.

Można więc powiedzieć, że pojęcie kultury u jej zarania odpowiadało przede wszystkim potrzebie ładu, a docelowa wizja jej stanu oscylowała wokół systemu, w którym całość jest tak skonstruowana, że wszystko ma swoją funkcję, pełni jakąś rolę i opatrzone jest niezbędną kontrolą – innymi słowy, stanowi nieodzowny tryb wielkiego mechanizmu. Ale dość już tego dochodzenia genezy zjawiska, odwołajmy się bezpośrednio do definicji. W ramach poszukiwań tej najbardziej przystępnej, która da optymalny czytelnikowi obraz, najchętniej zgodziłem się z wytłumaczeniem terminu przedstawionym przez Bronisława Malinowskiego: *Kultura jest w sposób oczywisty integralną całością, na którą składają się narzędzia i dobra konsumpcyjne, konstytucyjne statuty różnorakich społecznych ugrupowań, ludzkie idee i rzemiosła, wierzenia i zwyczaje*[3]. Dopowiadając jeszcze słów kilka, należy napisać, że kultura, dzięki swojej różnorodności i wszędobylskości, pozwala nam radzić sobie z najbardziej wyszukanymi wyzwaniami, zarówno w wymiarze osobistym, jak i społecznym. ▶

Photo: Romina Ressia (www.rominaressiaph.com)

Droga do Trachinki

EPIZOD PIERWSZY

Tekst: Marek Szalsza (autor książki *Schyłek Szatrangu*), Ilustracje: Michał Dziekan

W sypialni panował półmrok. Mężczyzna wyciągnął rękę i zaczął głaskać ramię żony, która leżała odwrócona do niego tyłem.

– Daj spokój – mruknęła sennie kobieta i spłoszona dłoń wycofała się. Przez chwilę słychać było tylko miarowe oddechy obojga. – Możesz mnie podrapać po plecach. Ale nie tam, wyżej, między łopatkami. Swędzi jak cholera. Dzięki.

Małżonkowie zapadali w sen. Byli święcie przekonani, że są sami. Nic bardziej mylnego. W ich łóżku przebywał ktoś jeszcze i to bynajmniej nie pojedynczy ktoś. Całe mnóstwo istot towarzyszyło im podczas procesu zasypiania. Albowiem w przeciętnie zakurzonym mieszkaniu, oprócz nielicznych *Homo sapiensów*, żyje wprost nieprzebrana rzesza roztoczy. Pomijając rzadkie incydenty typu świerzb/astma/alergia, oba gatunki nie wchodzą sobie w drogę. Ludzie na co dzień nie pamiętają o swoich mikroskopijnych sąsiadach, chociaż dzielą z nimi stół i zwłaszcza łoże. Roztocze w ogóle nie wiedzą o istnieniu ludzi, mimo że do pewnego stopnia żywią się nimi. Nie zjadają jednak całych osobników, a jedynie szczątki naskórka, które człowiek bezwiednie rozsiewa po domu. Głównym beneficjentem tej hojności jest skórożarłoczek skryty *(Dermatophagoides pteronyssinus)*, kosmopolityczny pajęczak o owalnym białawym korpusie. W podwójnym materacu mieszka ich średnio milion, można więc, zmieniając perspektywę, nazwać go miastem roztoczy. Uśpieni małżonkowie nie mieli alergii ani astmy i nie przejmowali się kurzem, dzięki czemu ich materac liczył sobie aż cztery miliony mieszkańców, a to pozwala już mówić o metropolii. ▸

Satyra na powierzchowność
i ludzką głupotę

Wobec debiutów należy zachować czujność. Literacki pierwszy raz jawi się jako szalenie ważny, ponieważ pozwala on zaistnieć autorom i stanowi niespodziankę dla spragnionych wrażeń czytelników. Właśnie mamy do czynienia z taką powieściową inicjacją w postaci książki Marka Szalszy *Schyłek szatrangu*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa w Podwórku. To interesujące studium paranoi i obłędu wyrastających na gruncie głupoty, powierzchowności, naiwniactwa, megalomanii, lenistwa i kilku innych jaskrawych elementów kojarzonych z ludzkimi niedostatkami. Wszystko zaś opakowane jest w oryginalną narrację, wobec której trudno pozostać obojętnym.

Tekst: Roger Weichert

Izydor Spengler od najmłodszych lat kieruje się poczuciem misji zwalczania zła i wszelkich niegodziwości. Wychowuje się w atmosferze uciążliwej matczynej nadopiekuńczości oraz fatalizmu i frustracji ojca. Pogrążony w bezdennej naiwności wyrasta na wyizolowanego oraz nieco ekscentrycznego młodzieńca, który w pewnym momencie dochodzi do wniosku, iż jest zwalczany przez mężczyznę potrafiącego przyjąć postać dowolnej osoby. Wskutek przypływu szaleństwa i czynów, jakich dopuszcza się w szkole, trafia do szpitala psychiatrycznego, gdzie spędza aż 18 lat. Powróciwszy na łono społeczeństwa, próbuje odnaleźć się w *pełnoletniej* rzeczywistości i wrócić do życiowej równowagi. Ostatecznie zamieszkuje w kamienicy przy ulicy Akacjowej 44, gdzie każdy z lokatorów determinowany jest własnymi obsesjami, wyobrażeniami, projekcjami, podejrzeniami, stereotypami i zupełnie niedorzecznymi spekulacjami pozwalającymi im wyjaśnić nikczemność świata i ciężar doświadczanego życia. Główny bohater zdobywa zaufanie mieszkańców i staje na czele zorganizowanej grupy sąsiedzkiej, która ma na celu nie tylko ochronić ich samych, lecz również zapobiec złu, jakie codziennie spotyka obywateli miasta.

Diagnoza – szaleństwo!

Przyznać muszę, że lektura *Schyłku szatrangu* sporo mnie kosztowała. Takiej dawki skrupulatnie przyrządzonej paranoicznej mikstury dawno nie miałem okazji podziwiać. Lubię absurd, ale chyba nie do tego stopnia. Teorie spiskowe, insynuacje, syndromy oblężonej twierdzy rozłożone na blisko sześciuset stronach, to dla mnie trochę zbyt wiele. Rozwlekłość i dygresyjność pełzającej niepoczytalności głównego bohatera, jak i pozostałych postaci, powodują, że cierpliwość czytelnika może być wystawiona na ciężką próbę.

Choć Marek Szalsza napisał książkę o mocno satyrycznym zabarwieniu, to *Schyłek szatrangu* przygnębił mnie na całej linii. Atmosfera groteski, zidiocenia powieściowych indywiduów przepełnionych wyuczoną bezradnością, napastliwością swoich natręctw, zaprzeczeniem przenikliwości, powodowały, że podczas lektury wszystko mnie bolało. Nie, nie dlatego, że zostało to źle napisane, wręcz przeciwnie. Natomiast nie mogę opędzić się od wrażenia, że książka ta stanowi niebezpośredni portret polskiego społeczeństwa, a przynajmniej tej jego części, która pogrążona jest w poczuciu boskości połączonej z niesprawiedliwością dziejową, z rozdygotaną pretensją, lenistwem oraz intelektualnym i moralnym dziadostwem. Ta satyra na powierzchowność, ludzką nieudolność, zaniedbania i przywary sprawiła mi fizyczny ból. Być może dlatego, że tak wiele podobnych zachowań można spotkać na co dzień. Tymczasem Marek Szalsza daje nam pożywkę, która w zestawieniu z codziennym teatrem absurdu wydaje się być chwilami nie do zniesienia.

Rzeczywistość na deskach

Autor przemyca za pośrednictwem wykreowanych postaci celne diagnozy społeczne i odkrywa kulisy ludzkich niedoskonałości. Ukazuje je, posługując się krzywym zwierciadłem karykatury, ale na tyle trafnie, że nie sposób im zaprzeczyć. Umiejętnie łączy akcje i losy głównego bohatera z realiami znanymi przeciętnemu Kowalskiemu: biurokracją z całą jej papierologią i spychologią stosowaną, nie zawsze przyjemne kontakty z urzędnikami wykazującymi się niezbyt profesjonalnymi postawami, żarłoczną i bezpardonową polityką korporacji stymulowaną powszechnym materializmem i przemożną chęcią zysku oraz wieloma innymi przejawami rzeczywistości.

Zwraca uwagę brak elementu moralizowania ze strony pisarza i narracja wolna od recenzowania okoliczności, w jakich toczy się akcja powieści. Natomiast to, co szczególnie cenię w *Schyłku szatrangu*, to bogactwo języka, który z jednej strony bardzo dobrze skrojony jest pod postacie, a z drugiej momentami może służyć za wysublimowaną ucztę dla koneserów słowa pisanego. Nie oznacza to, że znajdziemy tu wyłącznie wyszukane jego egzemplifikacje. Przekleństwa czy niewybredne kolokwializmy też się przytrafiają, niemniej są osadzone w odpowiednim miejscu i zachowują stosowną proporcję.

Nie śmiałem się

Schyłek szatrangu można więc określić jako bardzo wymagającą lekturę, która, mimo chwilami lekkiego i zabawnego tonu, daje do myślenia. Naprowadza bowiem, a nawet w pewien sposób wyjaśnia motywy postępowania osób będących w swoim odczuciu wykluczonymi, porzuconymi, pozbawionymi godności i szacunku. Z jednej strony pokazuje niespotykany festiwal ułomności, a z innej pragnienia ludzi, których zaszczytu realizacji nie udało się im dostąpić. Marek Szalsza stworzył słodko-gorzką powieść piętnującą spłaszczoną recepcję świata opartą na powierzchowności i ucieczce w urojenia, wspieraną przez przyzwolenie na intelektualną i emocjonalną abnegację. Przyznam się, że wbrew relacjom innych czytelników, moje poczucie humoru nie drgnęło podczas lektury. Być może dlatego, że widziałem przede wszystkim drugie dno tej książki. Macie więc okazję przeżyć literacką przygodę, choć z pewnością nie będzie ona jednoznacznie należała do gatunku tych miłych, łatwych i przyjemnych. {S}

Marek Szalsza (ur. 1967) – pisarz i tłumacz, obecnie mieszkaniec Sopotu. Autor opowiadań publikowanych w czasopismach i antologiach. *Schyłek szatrangu* jest jego debiutancką powieścią, która została nagrodzona w Konkursie Literackim Miasta Gdańska im. Bolesława Faca za rok 2014.
Schyłek szatrangu mozna kupić pod tym linkiem:
www.beslow.pl/marek-szalsza

FREE:ZONE

MICHAŁ DZIEKAN {83}, ILUSTRACJA I JEJ OBLICZA {86}

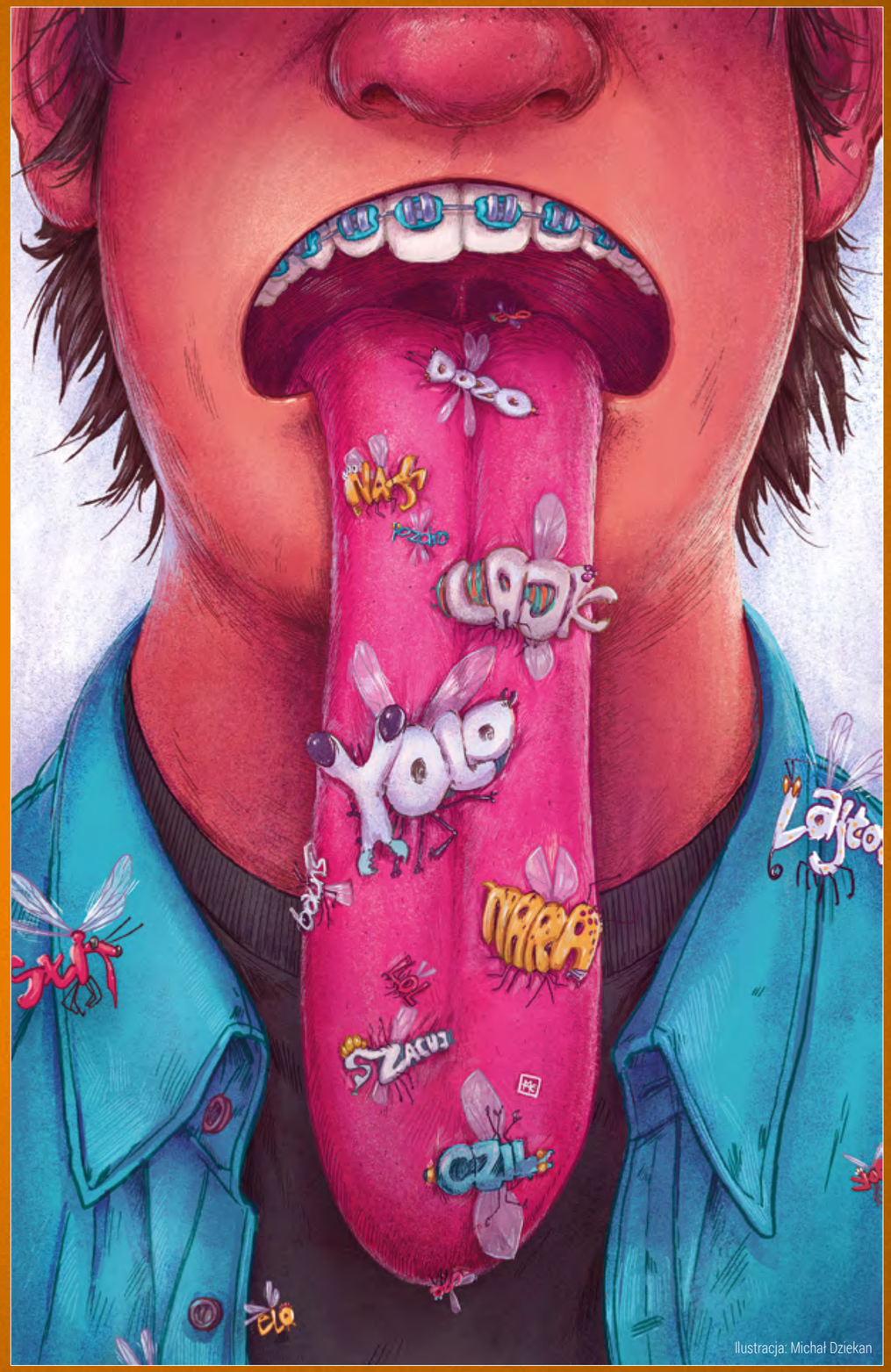

Ilustracja: Michał Dziekan

Ilustracje: Michał Dziekan

Michał Dziekan

Rocznik 1985

Jego początki w ilustracji wyglądały zupełnie niewinnie, kończyły się bowiem na bliskich spotkaniach z Photoshopem i samodzielnym poznawaniu tajników grafiki 3D. Pierwsze świadome kroki w tym zakresie miały miejsce, gdy trafił na kurs rysunku przed egzaminami na architekturę. Już wtedy wykazywał na tyle wysokie umiejętności, że dostał się na wymarzony kierunek. Studia na Politechnice Wrocławskiej jednak nie spełniały jego oczekiwań, demonstrując przede wszystkim swój inżynierski profil realizowany kosztem rysunku, jak również pryncypialny charakter potwierdzony postawami niektórych wykładowców. Paradoksalnie ten pozornie nietrafiony sposób okiełznania i ukształtowania pasji rysowania dał Michałowi Dziekanowi przepustkę do odkrycia dziedziny, jaką jest digital painting. Rysował nocami, po zajęciach i udostępniał swoje najlepsze prace w internecie.

Ilustracje: Michał Dziekan (www.michaldziekan.com)

Tak też trafił na niego Tomasz Bagiński, autor filmu *Katedra* nominowanego w 2002 roku do Oscara w kategorii krótki film animowany, dzięki któremu Michał Dziekan trafił do studia Platige Image. Wówczas rysunek zszedł na dalszy plan, gdyż miejsce, w którym się znalazł, oferowało szerokie możliwości rozwoju m.in. w dziedzinie grafiki, animacji czy reżyserii. Jednak stara miłość nie rdzewieje. Wzbogacony o kilka lat doświadczeń i nowych umiejętności, ponownie padł ofiarą zauroczenia ilustracją. Odkrywanie jej tradycji, mnogości stylistyk, bezkresnej wolności wyrazu i jednoczesnej syntetyczności przekazu wywarło na autora gigantyczny wpływ. Nabył bowiem przekonanie, że oto w prosty sposób można bardzo celnie i dynamicznie przekazać idee, które stoją za obrazem, jeszcze bardziej eksponując ich ładunek emocji i przekazu. Po 5 latach współpracy z Platige Image uznał, że pora na nowy etap w zawodowych i artystycznych poczynaniach. Przez chwilę rysował jeszcze dla mniejszego studia Ars Thanea, ale czuł, że to nie to, czego potrzebuje. Zaufał swojej intuicji i rzucił się w przepastne morze freelance`u. Decyzja, choć ryzykowna, okazała się strzałem w dziesiątkę!

Co prawda polskie magazyny nie poznały się od razu na kunszcie ilustracji Michała Dziekana, lecz on postanowił nie ograniczać się do krajowego podwórka. Rysunki, które wcześniej trafiały do szuflady, miały wreszcie okazję ujrzeć światło dzienne i wypłynąć na głębokie wody. Odwaga i determinacja prowadziły go do uczestnictwa w różnych konkursach dla ilustratorów. Jeden z nich wygrał. Ten też okazał się najważniejszy dla jego kariery. Choć zwycięstwo nie przyniosło bezpośrednich profitów, to organizator przedsięwzięcia – Richard Solomon – został później agentem polskiego rysownika. Zaczęły spływać zlecenia od Wall Street Journal, Disneya, Maxima i całej rzeszy mniej lub bardziej znanych magazynów na amerykańskim rynku. W 2014 roku miał też okazję poprowadzić cykl wykładów i warsztatów w czasie bardzo prestiżowego CTN Animation Expo w Burbank w Kalifornii. Na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych spotkał go jeszcze jeden poważny zaszczyt, mianowicie rok wcześniej Society of Illustrators of Los Angeles nagrodziło go prestiżowym srebrnym medalem. Michał Dziekan, choć bardzo skromnie odnosi się do swoich nieprzeciętnych osiągnieć, stał się częścią światowej elity ilustracji. Niechętnie opowiada o cechach charakterystycznych swoich wyrazistych rysunków. Ten brak deklaracji i ukierunkowania pozwala odbiorcom samodzielnie wyłonić to, co jest dla nich najbliższe i najbardziej symptomatyczne. W poszukiwaniach wspólnych mianowników odbioru jego twórczości z pewnością można wymienić wyrazistość idei, która stoi za ilustracją, jak również dystans, groteskę, czasami nawet czarny humor i absurd. Wyczuwalny jest słodko-gorzki melanż nastrojów zorientowany przede wszystkim wokół tematyki okołospołecznej, a także refleksji nad kondycją współczesnego świata i tworzących go ludzi. Prywatnie najbardziej lubi rysować dla polskojęzycznych mediów, ponieważ w pełni identyfikuje się z Polską i bez jej doświadczania prace nigdy nie miałyby takiej formy, w jakiej możemy je podziwiać. Z drugiej strony rodzima ilustracja prasowa pozwala na zdecydowanie więcej, aniżeli jej amerykański odpowiednik, chociaż nie cieszy się tak wielkim prestiżem jak za oceanem. Poza wspomnianymi tytułami rysunki Michała Dziekana można spotkać w Dużym Formacie czy polskiej edycji magazynu Newsweek. Autor nie stroni także od współpracy z przedstawicielami polskiego świata artystycznego. Wykonał m.in. oprawę płyty punk-rockowego zespołu Leniwiec, samodzielnie stworzył niesamowity animowany teledysk do piosenki L.U.C.- a *O energocyrkulacji i szczęściu*, a ostatnio zaprojektował i zilustrował okładkę płyty *Ułamek tarcia* dla grupy Kaliber 44. {s}

RE:VISION

EMPATIA NA WYŻSZYM LEWELU {92}, LĘK W KULTURZE NADMIARU {96}
EMPATIA W SIECI {100}, ALBUM ILUSTRATORÓW {105}, TENISOWE LEGENDY {106}

Zdjęcie: Paweł Bajew

Empatia na wyższym lewelu

Wyobraź sobie taką sytuację.
Wyjeżdżasz na kilka dni. Wszystko zapięte na ostatni guzik. Siedzisz w swoim samochodzie, kierujesz się prosto na autostradę. Przed tobą jeszcze tylko kilka skrzyżowań, a zaraz za nimi wjazd na trasę i długie kilometry prostej. I nagle pojawia się ta myśl: wyłączyłem to żelazko czy nie wyłączyłem? W innych przypadkach: zakręciłem kurki z wodą? Wyłączyłem kuchenkę? Zamknąłem dobrze drzwi na klucz? Co robisz? Kogóż z nas nie dopadła choć raz taka właśnie natrętna myśl? Mnie – całkiem niedawno. I był to wariant z żelazkiem.

Tekst: Tomasz Kozłowski, Zdjęcia: Paweł Bajew

Wrzask międzymózgowia

Będąc przypięty pasami, oczyma wyobraźni widziałem płonący dobytek i dymiące zgliszcza, które miały mnie witać w sytuacji, gdybym natychmiast nie zawrócił. Mimo to – jechałem przed siebie. Nie zawróciłem. Nie mam natury ryzykanta, przeciwnie, ale nad przeczucie stawiam racjonalną argumentację. W tamtym krytycznym momencie wyglądała ona mniej więcej tak: chwileczkę, zanim zawrócisz, przypomnij sobie, ile razy miałeś podobną sytuację. Co najmniej kilka. Czy choć raz zostawiłeś włączone żelazko? Nie? Więc pewnie jest tak i tym razem. Zwłaszcza że takie myśli jak ta są dość powszechne i systematycznie nawiedzają bogu ducha winnych nieboraków. To, co odczuwasz, to tylko wrzask międzymózgowia, starej dość neuronalnej struktury, która nie znosi sprzeciwu – ot, ponownie, włączyła ci w głowie emocję strachu i trąbiła na całe gardło: a co jeśli…?! Poczekaj jeszcze kilka chwil. Powinno przejść.
I przeszło. Tymczasem ja nadal miałem do czego wracać. Żelazko, odłączone, karnie stało w schowku. Przekonałem się o tym dopiero, gdy przyszło coś prasować, bo po powrocie ani myślałem sprawdzać, co się z nim dzieje.

David Siegel, amerykański psychiatra, powiedziałby, że w tamtym krytycznym momencie na skrzyżowaniu zastosowałem na sobie procedurę psychowzroczności (ang. *mindsight* – jest to jednocześnie tytuł jego popularnej książki). To umiejętność pogłębionej refleksji, a dokładniej – introspekcji wspartej o elementarne podstawy wiedzy psychologicznej. Wiedząc, jak czasem działa umysł, jakie potrafi nam płatać figle i zastawiać pułapki, wyciągnąłem ze swoich wcześniejszych doświadczeń stosowne wnioski i podjąłem rozsądną decyzję. Ale nie zawsze jest tak różowo. Za kółkiem jestem wyjątkowo nerwowy. Gdy mówię, że kocham jeździć samochodem – nikt, kto kiedyś ze mną podróżował, nie chce mi wierzyć. Dlatego dodaję: uwielbiam jazdę, ale inni kierowcy doprowadzają mnie do szału! I jakoś tak się składa, że w drodze do pracy zdecydowanie rzadziej stosuję psychowzroczne praktyki. A gdy kolejny raz stoi się w korku, powinny one wyglądać mniej więcej w ten sposób: spokojnie, twój umysł ogarnia w tej chwili marzenie o bezproblemowej jeździe, ale jest to marzenie ściętej głowy, zupełnie niespełnialne w dużych miastach, zwłaszcza w godzinach porannego szczytu. Pora zrozumieć, że korek jest w zasadzie czymś normalnym. Jesteś obecnie przerażony perspektywą spóźnienia, ale czy twoje nerwy w czymkolwiek, kiedykolwiek pomogły? Wyciągnij wnioski. Pomyśl o możliwych rozwiązaniach zamiast dokarmiać stres. Twoje międzymózgowie ponownie utrudnia ci logiczne myślenie. A przecież świat się nie zawali. To oczywiście ogromny skrót, jednak według Siegla odpowiednio pokierowana autorefleksja może być dla każdego istotnym wsparciem w procesach pokonywania np. niekorzystnych przyzwyczajeń, fobii, a nawet traum. Kluczowym elementem jest zdanie sobie sprawy, że nasz umysł sam jest twórcą rzeczywistości, w której żyje, oraz że kreuje ją na określonych zasadach. Reguły te tym łatwiej nam zrozumieć, im wnikliwiej obserwujemy własne reakcje, przyzwyczajenia, a także wydarzenia, które przytrafiają się nam każdego dnia.

Czym jest psychowzroczność?

Kiedyś przeprowadzono proste doświadczenie. Badanych poproszono o skserowanie kartki papieru. Część z nich na panelu kopiarki znalazła 10 centów (podstęp przygotowany przez badaczy). Następnie wszyscy proszeni byli o określenie swojego samopoczucia. Okazało się, że ci, którzy znaleźli tych kilka groszy, uważali się za szczęśliwszych ludzi! 10 centów potrafi czasem zmienić perspektywę, w jakiej oceniamy swoje życie. Nikt z badanych nie miał świadomości, że padł ofiarą podstępu. Poczucie dobrostanu wzrosło i był to fakt. Jaka z tego płynie nauka? Gdy czujemy, że mieliśmy beznadziejny dzień, warto zadać sobie pytanie, czy przypadkiem nie zaszło coś, co mocno zakłóciło naszą percepcję i zaowocowało takim oto *dołem*? Od kiepskiej pogody, przez ból głowy, na korkach ulicznych skończywszy. Większość nie zadaje sobie jednak podobnych pytań. Po prostu podsumowuje: czuję się źle, dzień był fatalny, wszystko jest do bani. ▸

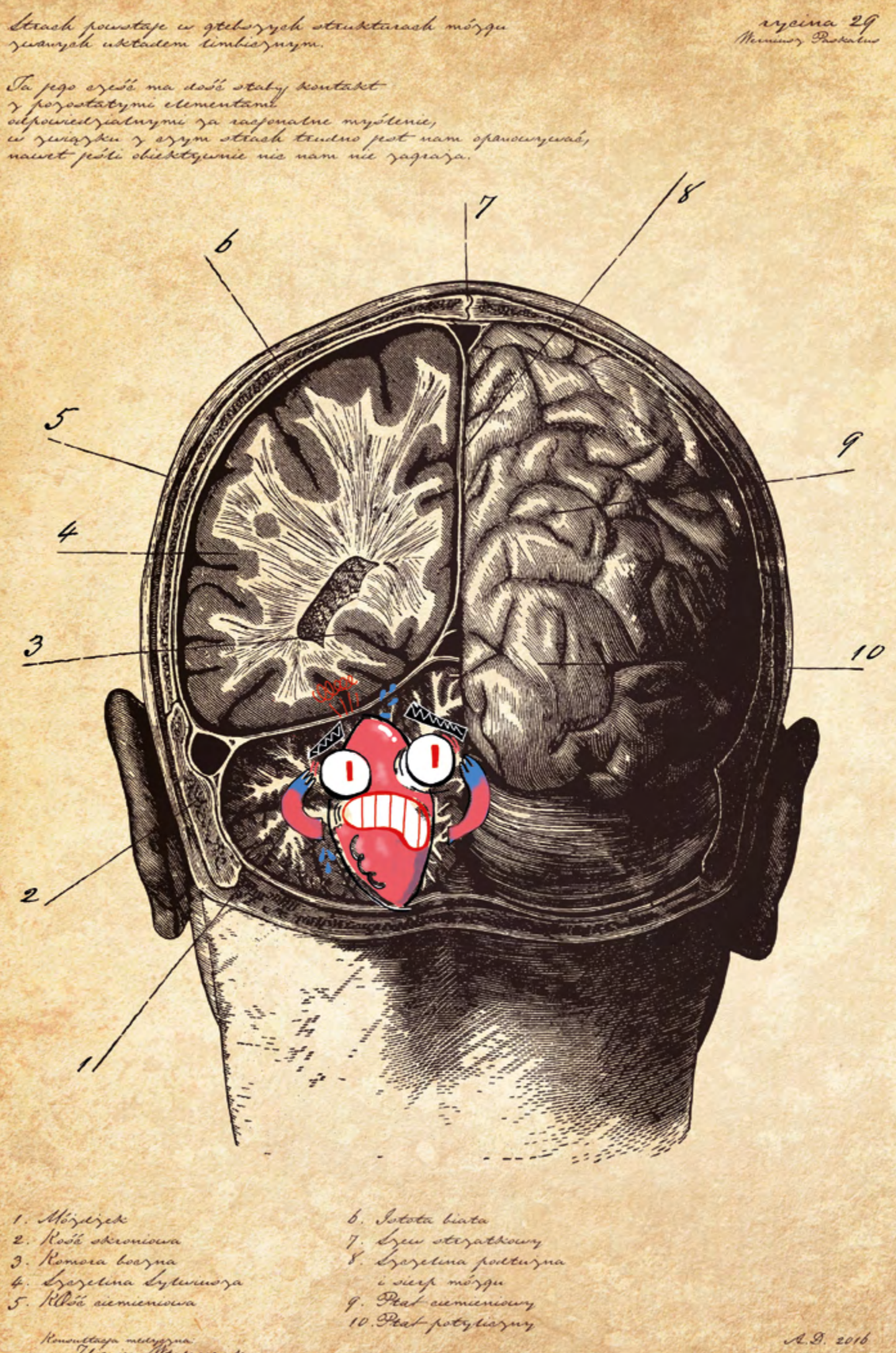

Lęk w kulturze nadmiaru

Powiedzieć o jakimkolwiek ssaku, czy tym bardziej człowieku, że *nie zna strachu*, to tyleż samo, co dalece minąć się z prawdą. Tymczasem towarzyszy nam on od zarania dziejów. Bez problemów rozpoznajemy go i odczuwamy. Co więcej, bez względu na skomplikowany kulturowo-społeczny kontekst oraz na moment historyczny, jesteśmy w stanie bez żadnego trudu ze sterty porozrzucanych zdjęć ludzkich twarzy wyłowić właśnie te, które są przestraszone. Mimiczna reprezentacja strachu nie zmieniła się od wielu tysięcy lat, a jej szybkie rozpoznawanie często decydowało o przetrwaniu osobnika.

Tekst: Tomasz Kozłowski (Collegium Da Vinci), Ilustracja: na podstawie grafiki Lynea (Fotolia.com)

O wrodzonym charakterze tej emocji przekonuje również fakt, że potrafimy rozpoznać ją u swoich czworonogów. Chyba każdy z nas widział przerażonego psa czy kota. Podobnie ekspresji strachu nie musimy uczyć dzieci, nawet tych głucho-niewidomych. Choć nie ma żadnych szans, by od kogoś nauczyły się poprawnie go wyrażać – robią to dokładnie tak samo jak ich pełnosprawni rówieśnicy, jak my wszyscy.

Uciekaj lub walcz

Strach powstaje w głębszych strukturach mózgu zwanych układem limbicznym lub – określając bardziej potocznie – mózgiem wczesnych ssaków. To właśnie u naszych dalekich przodków zawiadywał on odczuwaniem wszelkich emocji. Ta jego część ma dość słaby kontakt z pozostałymi elementami odpowiedzialnymi za racjonalne myślenie, w związku z czym strach trudno jest nam opanowywać, nawet jeśli obiektywnie nic nam nie zagraża. Dzięki przywołanemu słabemu połączeniu wciąż odczuwamy lęk, np. oglądając horror czy wjeżdżając do upiornego tunelu w wesołym miasteczku. Z kolei w internecie łatwo można natrafić na nagrania dokumentujące paniczne fobie przed klaunami, brzoskwiniami czy wacikami! Bliska obecność tych bodźców powoduje natychmiastowe skoki adrenaliny, co skutkuje przyjęciem postawy *uciekaj lub walcz*, nawet wobec brzoskwiń. To skraje neurologicznego nieprawdopodobieństwa, jednak badania antropologiczne pozwalają przyjąć, że istnieje kilka ponadkulturowych stresorów obowiązujących praktycznie zawsze i wszędzie. Są one bardzo ściśle związane z zagrożeniami, które czyhały na nas dawno temu w środowisku naturalnym naszych przodków. Przede wszystkim jako prehistoryczna zwierzyna, bądź co bądź łowna – boimy się wszystkiego, co może na nas chcieć zapolować, a szczególnie dużych kotów. Homo sapiens wyraźnie stresuje się także w obecności stworzeń jadowitych, takich jak pająki, nieprzyjaźnie wyglądające owady (zwłaszcza te z żółto-czarnymi wzorkami na odwłoku) czy węże. Unikamy także ciemności (wtedy duże koty, ale nie tylko one, wykazują zwiększoną aktywność), zalesionych miejsc (z gałęzi coś może na nas spaść i zagryźć), nazbyt otwartych przestrzeni (ponieważ widać nas jak na dłoni i łatwiej dopaść), wysokości (bo można skręcić kark). Boimy się również zwłok. Teoretycznie są one niegroźne (zwłaszcza gdy pozostają stosunkowo świeże), jednak napawają nas niepokojem z prostego powodu. Działający na skróty umysł interpretuje komunikat i dochodzi do wniosku, że w okolicy coś najwyraźniej czyha i morduje. Prócz tego rozkładające się zwłoki to siedlisko choróbsk, lepiej więc omijać je z daleka. ▸

Empatia w sieci

Rozbudowaliśmy strasznie wrażliwość indywidualną, a nie rozbudowaliśmy solidarności tak naprawdę[1]. Profesor Zbigniew Mikołejko był bardzo łagodny w swojej diagnozie. Coś się z nami stało niedobrego albo po prostu nie stało się nic lepszego, z tą jednak różnicą, że internet niezawodnie uwolnił ludzi od *przymusu* hipokryzji lub zwyczajnie od poczucia wstydu. Nie żałujemy sobie. Hołubimy się, pieścimy poprzez ekspozycję życia w mediach społecznościowych, do bólu nawzajem się uwielbiamy i gorliwie zwalczamy. Internet pokazał, że empatia to towar deficytowy, a skrajnie posunięty indywidualizm i nadęty egotyzm eskalują żałosne przedstawienie naszych emocjonalnych i intelektualnych niedostatków.

Tekst: Roger Weichert, Ilustracje: Marcin Bondarowicz

Tenisowe legendy
po przeciwnych stronach kanału La Manche

Roland Garros i Wimbledon to legendarne miejsca światowego sportu, dwa najwspanialsze turnieje tenisowe w roku. Czym się różnią? Jak wytłumaczyć fakt, że od końca maja do początku lipca tenis jest częstym tematem rozmów nawet wśród tych, którzy na co dzień nie interesują się sportem? Jak oglądać wielkie tenisowe gale w Paryżu i Londynie? Co warto wiedzieć, żeby widzieć i rozumieć więcej, niż tylko to, co pokazują telewizyjne kamery?

Tekst: Maciej Saskowski, Zdjęcia: Paweł Bajew

Powiada się, i słusznie, że tenis na trawie i nawierzchni ziemnej – to właściwie dwie zupełnie odmienne dyscypliny sportu. Dotyczy to nie tylko warunków stawianych tenisistom i tenisistkom, ale również charakteru, atmosfery, oprawy obu imprez, jak i ich tradycji.
Roland Garros, znany również jako French Open, to wielkie wydarzenie towarzyskie. Doskonała okazja, której nie można przegapić – to miejsce, gdzie się *bywa*, doskonale nadające się do spełnienia jednego z podstawowych warunków życia w eleganckim świecie:

Widzieć i być widzianym

Był czas, kiedy otwarte mistrzostwa Francji traktowano jak ubogiego krewnego Wimbledonu i US Open. Zdecydowana zmiana w percepcji turnieju nastąpiła w latach 80., a jej głównym architektem był ówczesny prezydent międzynarodowej i francuskiej federacji tenisowej, Philippe Chatrier. Dzięki niezwykłej determinacji i ambicji (złośliwi mówią megalomanii) potrafił zdobyć gigantyczne środki finansowe, zarówno rządowe, jak i prywatne, doprowadzając do tego, że pod wieloma względami Roland Garros jest obecnie najlepiej zorganizowanym wydarzeniem sportowym na świecie.
Zdumiewająca jest przy tym szybkość, z jaką instaluje się cały system konieczny do przeprowadzenia tak wielkiej imprezy. Jeszcze dwa dni przed rozpoczęciem współzawodnictwa korty wyglądają tak, jakby wielkoszlemowy turniej miał się odbyć gdzieś indziej. Trybuny, owszem, są, ale wokół nich dosłownie nic nie jest jeszcze gotowe. W ciągu jednego dnia i jednej nocy następuje cudowna metamorfoza. Działa wszystko: bary, restauracje, bank, poczta, sklepy, stanowiska dla dziennikarzy. Przez następne dwa tygodnie odbywa się pasjonująca rywalizacja kobiet i mężczyzn na ceglanej mączce. Tak jak wszystko gwałtownie się zaczyna,▸

APPÉTIT

POMARAŃCZOWO MI {112}, MARCHEWKI ZA'ATAR {116}
CUKROHOLICY {118}, TARTA BRZOSKWINIOWA {124}

Zdjęcie: NilsZ (Fotolia.com)

Zdjęcia: **Paulina Wydrzyńska** (paulinawydrzynska.com)

Pomarańczowo mi!

Chrupka, soczysta, o delikatnym smaku. Marchewka, a przede wszystkim jej korzeń, już od wieków dominuje w naszych kuchniach. Nie ma w tym żadnego przypadku. Zawiera tak wiele pożytecznych składników mineralnych i witamin, że trudno wyobrazić sobie jej nieobecność w codziennym jadłospisie. Poprawia kondycję organów wewnętrznych, doskonale wpływa na wzrok i skórę. Na dodatek jest wdzięcznym warzywem do uprawy, które, choć trudno w to uwierzyć, nie zawsze dysponowało znanym nam obecnie ubarwieniem!

Tekst: Roger Weichert, Zdjęcia: Paulina Wydrzyńska

Zastanawialiście się kiedyś, dlaczego marchew ma pomarańczowy kolor i skąd on się wziął? Krążące legendy wskazują na Holandię, a dokładniej na holenderską rodzinę królewską, na życzenie której wyhodowano specjalną jej odmianę. Ile jest w tym prawdy? Na pewno tyle, że znana nam obecnie najbardziej pospolita forma tego warzywa rzeczywiście pochodzi z kraju tulipanów. Niedawno udało się rozwikłać kolejną część tajemnicy dotyczący jej ubarwienia. Międzynarodowy zespół naukowców, w tym badaczy z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, odczytał DNA warzywa. Aby uzyskać jak najprecyzyjniejsze odpowiedzi, nie tylko zsekwencjonowali genom pojedynczej marchewki, ale sprawdzili pod tym kątem ponad 30 jej form – co oznacza, że pod lupę wzięli zarówno te dzikie, jak i uprawne rodzaje. To zaś pozwoliło określić historię ewolucyjną gatunku. Głównym zadaniem naukowców było rozwikłanie zagadki, w jaki sposób roślina wytworzyła zdolność do gromadzenia pomarańczowego barwnika. Opublikowane na łamach *Nature Genetics* badania, prowadzone pod opieką Phillipa Simona, wyjaśniają tę kwestię i dowodzą, że to, co mamy okazję kupować dzisiaj w sklepach i na straganach, to marchew genetycznie modyfikowana. Jak podsumowuje prof. Dariusz Grzebelus z Wydziału Biotechnologii i Ogrodnictwa Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie: *Pomarańczowa barwa tych warzyw pojawiła się dopiero ok. XV-XVI wieku. Wcześniej korzenie tej rośliny były zwykle żółte albo purpurowe.* Niemniej jednak gwarantuję Wam, że pod względem walorów smakowych są równie wspaniałe, choć nieco inne od tych, do których przywykliśmy. Miałem okazję kosztować.

Skąd przywędrowała?

Wiele wskazuje na to, że marchew została udomowiona aż 5 tysięcy lat temu w Azji Centralnej, chociaż można znaleźć również informacje, że pojawiła się w około roku 900. Nie ma jednak sporu co do jej pierwotnego koloru i smaku, które nie korespondowały z analogicznymi cechami tej obecnie najczęściej spotykanej. Na początku była bowiem pikantna i… fioletowa, a w Chinach z kolei uprawiano wówczas łagodniejszą odmianę warzywa, które przybierało kolory od bieli po żółć. W Europie została spopularyzowana w XVI wieku i od tego czasu nie opuszcza naszych stołów. Zresztą dużo by mówić, marchew jest szeroko znana i lubiana na całym świecie. Wydaje się jednak, że pomarańczowa dominacja, choć nadal nie można mówić o niej w czasie przeszłym, nie jest już tak wyraźna. Do łask bowiem wracają jej pierwotne rodzaje.

Skarbnica zdrowia

Nie tylko walory smakowe i uniwersalność zastosowania stoją za popularnością tej rośliny. W marchwi odnajdziecie m.in. witaminę A, C, a także te z grupy B. Minerałów w postaci wapnia, potasu, sodu, żelaza, miedzi czy kobaltu też u niej dostatek. Dodatkowo skrywa kwas foliowy, jabłkowy oraz pektyny. Mało? No to idziemy dalej. Posiada również błonnik, który niezawodnie wspiera perystaltykę jelit. Nie dość, że doskonale wpływa na kondycję narządów wewnętrznych, to jeszcze znakomicie oddziałuje na skórę. Obłaskawia ją dobrodziejstwem gładkości, co bezwzględnie powinno być wystarczającą zachętą do jej spożywania. Oddziałuje także na zabarwienie naszej powłoki ciała, nadając jej kolorystycznej wyrazistości. ▶

Zdjęcia: **Marta Potoczek** (www.leniwaniedziela.pl)

MARCHEWKI

ZA'ATAR Z FETĄ, MIGDAŁAMI I KARMELEM SHERRY

Przepis i zdjęcia: Marta Potoczek (www.leniwaniedziela.pl)

GARŚĆ INFORMACJI

Podczas pieczenia młode marchewki zdecydowanie zyskują na walorach smakowych. Proces obróbki termicznej wydobywa z nich bowiem słodycz, natomiast dodatki w postaci oliwy z oliwek, przyprawy za'atar oraz słoność sera fety równoważą słodkawy smak warzywa i dodanego doń karmelu. Z kolei delikatnie prażone migdały nadają całemu daniu przyjemnej chrupkości.
Gromadząc składniki potrzebne do przygotowania tego dania, nie martw się rzekomą niedostępnością wspomnianej przyprawy. Bez problemu możesz ją kupić w większości sklepów z żywnością orientalną i miejscach oferujących artykuły spożywcze z różnych zakątków świata albo po prostu wykonać ją samodzielnie.

PRZYPRAWA ZA'ATAR

5 łyżek tymianku zmielonego na proszek
1,5 łyżki sumaku
3 łyżki sezamu
1 łyżeczka soli
Sezam podpraż na patelni, aż zacznie wydzielać zapach. Wymieszaj z solą. Tymianek utrzyj wraz z sumakiem w moździerzu. Wymieszaj z sezamem i solą.

Więcej przepisów znajdziecie także na fanpage'u autorki:
www.fb.com/marta.potoczek.fotografia

SPOSÓB WYKONANIA

1. Rozgrzej piekarnik do 180 stopni z termoobiegiem. Umyj i obierz marchewki, a następnie przetnij każdą na cztery części.
2. Przygotuj karmel sherry. Do garnka o grubym dnie wsyp cukier i zalej go winem. Gotuj na małym ogniu, aż cukier się rozpuści. Wtedy zwiększ ogień i gotuj około 12 minut, aż karmel nabierze bursztynowego koloru. Zostaw do ostygnięcia.
3. Na blasze ułóż marchewki, posyp za'atarem i polej oliwą. Piecz całość przez około 40 minut do momentu, aż zmiękną. Zostaw do lekkiego ostygnięcia.
4. Na małej patelni upraż blanszowane migdały, cały czas mieszając, by ich nie przypalić.
5. Marchewki podawaj posypane kawałeczkami fety, migdałami i z wstążkami karmelu sherry.

SKŁADNIKI

10 młodych marchewek
4 łyżki przyprawy za'atar
4 łyżki oliwy z oliwek
garść blanszowanych migdałów
300 ml słodkiego wina sherry
80 g sera feta
150 g cukru

PODRÓŻE

SLOW ROAD I CZASOSPOWALNIACZE {128}
SLOW INCLUSIVE {138}, {SLOW}10 {146}

{czasospowalniacze}

Zdjęcie: GIS (Fotolia.com)

Slow Road,
czyli droga wolna

www.slowroad.pl

Z inicjatywy grupy pasjonatów *slow drivingu* w Polsce ruszyło przedsięwzięcie w całości poświęcone podróżowaniu mniej uczęszczanymi drogami do miejsc i zjawisk wpisujących się w filozofię *slow life.*

Wspólnymi siłami tworzymy mapę *Slow Road*, na której odnajdziecie niebanalne trasy widokowe, niesamowite zakątki i przestrzenie pozwalające oderwać się od pośpiesznej rzeczywistości. Miejsca te podzieliliśmy na trzy kategorie – noclegi, kulinaria i spędzanie czasu wolnego. Wspieramy ambitne inicjatywy tworzone przez pasjonatów, ponieważ wiemy, że ich sukces, zwłaszcza poza sezonem turystycznym, często uzależniony jest od frekwencji odwiedzających. Popieramy styl życia polegający na zamianie miejskiego zgiełku na np. spokojny weekend *daleko od szosy* czy dużych skupisk ludzkich.

Zapraszamy wszystkich do wspólnego poszukiwania wartościowych miejsc, łączenia zacisznych wysp i oaz spokoju w ogólnopolski archipelag *Slow Road*.

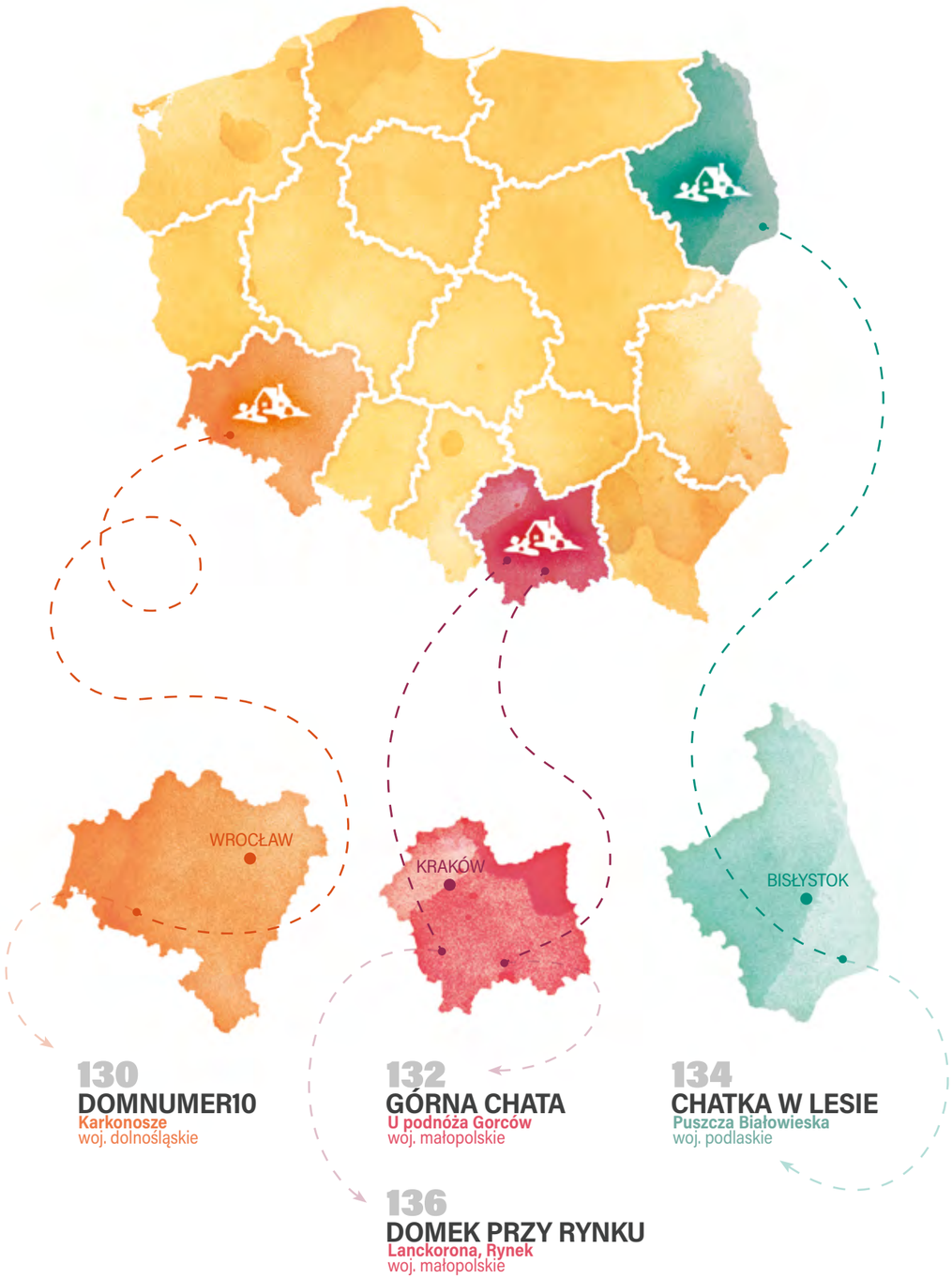

SLOW ROAD

Magazyn {slow} współpracuje ze Slow Road, aby zgromadzić najwspanialsze miejsca w Polsce.
www.slowroad.pl
www.czasospowalniacze.pl

Jeśli poszukujecie wygód na miarę luksusowego hotelu, omińcie te strony i szukajcie dalej. Chatka w Lesie posiada wszystko, czego potrzeba i niewiele z tego, co zbędne. Ma jednak coś, czego próżno szukać wśród miejskich luksusów: zapach mchu i grzybów, śpiew ptaków, ciszę… Puszcza Białowieska zachwyca zaś różnorodnością fauny i flory, niewzruszonym spokojem i soczystością zieleni.

Wyłączcie telefony komórkowe, zostawcie laptopy, porzućcie zegarki i odwiedźcie to miejsce. Zapewniam, że będziecie tu wracać.

Chatka w lesie

Zdjęcia: Arkadiusz Krassowski

Kontakt i lokalizacja

Jakub Bielawski z Chatki w lesie: +48 602 666 329
Strona chatki: www.beslow.pl/chatka-w-lesie
Lokalizacja: Puszcza Białowieska, woj. podlaskie

No. 10.

Kolejny numery {slow} do kolekcji już w przedsprzedaży.
Wyślemy go do Ciebie zimą 2017.

{slow}[10]

Szkoda czasu na pośpiech
Magazyn ludzi świadomych

Możesz zamówić pojedyncze numery lub prenumeratę.

Nie kupisz {slow}[10] w kiosku.

Magazyn {slow} dostępny jest tylko w przedsprzedaży, na stronie **www.beslow.pl/magazyn-slow**
Drukujemy wyłącznie zamówioną liczbę, aby nie zmarnować ani jednego egzemplarza.
Jesteśmy fundacją – organizacją non-profit – bez zysku, bez prowizji, bez kompromisów.

Tworzymy magazyn, który sami chcemy czytać.
Zamów {slow}[10] w pierwszej turze, w niższej cenie i z przesyłką gratis!

www.beslow.pl/magazyn-slow

:-)

Dziękujemy, że czytasz {slow}

To kolejny numer, który wydajesz wspólnie z nami.

{slow}[8]